



№ 396.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 27 kwietnia 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TRZĘŚĆ NUMERU. Ksawery Jan Kaniewski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe (dalszy ciąg). — Charakterystyka obiadów (cztery drzeworyty). — Wystawa między narodowa w Paryżu (drzeworyt). — O estetycznym wychowaniu kobiet (dokończenie). — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Antoni Oleszczyński (dokończenie). — Listy z wystawy paryżkiej. — Życie za życie (powieść pani Waleryi Morzkowskiej), dalszy ciąg. — Przegląd teatralny. — Korespondencya od redakcyi. — Helena, powieść T. T. Jeża (dalszy ciąg).

Ksawery Jan Kaniewski.

Życie artysty idzie jeszcze u nas odrębnym od życia innych zapaśników umysłowych torem. Sam talent, zdolność, praca, pilność nie zapewniają pomyślności.

Wprawdzie, mniej lub więcej, wszędzie to samo się dzieje; ale u nas, w zaraniu rozkwitu dotąd nieutrwalonego i chwiejnego upodobania do sztuk pięknych, zawód artysty-malarza bodaj czy nie jest w ścisłym znaczeniu tego wyrazu rzeczywistym *zawodem*.

Pędzel u nas nietylko, z rzadkimi wyjątkami, nie przynosi sławy, ale za ledwie liche zapewnia utrzymanie. Pochodzi to ztąd, że nie mamy przedmiotu sztuki cieszącego się powszechną, stałą i zapewnioną wziętością.

Obrazy religijne coraz są rzadsze, choćby je nawet malować potrafiono. Na rodzajowe i historyczne niema żądanych miłośników. Pozostają zatem portrety, ale i na te czyha już fotografia, coraz bardziej malarstwo wypierająca.

Więc w takim stanie rzeczy droga artysty nie jest bynajmniej różami usłaną i niewiele też udaje się wypłynąć na wierzch z unoszącej ich fali życiowej.

Do liczby tych wybrańców należał zmarły w Warszawie dnia 13 kwietnia r. b. Ksawery Kaniewski, którego szczęście prowadziło za rękę, towarzysząc zasłudze i talentowi. Cieszył się on w swoim czasie rozległą wziętością; nie pozostał bez wpływu na innych jako nauczyciel, a później ostatni zwierzchnik Szkoły sztuk pięknych w Warszawie; wreszcie był dobrym, czynnym w stosunkach prywatnych człowiekiem i pozostawił po sobie pamięć, którą uczyć niniejszym wspomnieniem jesteśmy obowiązani.

O ile mu do tego życzliwe losy sprzyjały, a pomogła własna zasługa, przekona najlepiej krótki rys jego życia i wymienienie niektórych prac, odznaczających go jako artystę.

Urodzony w g. Wołyńskiej w r. 1805 z niezamożnych rodziców, w miasteczku Krasinowie, w powiecie starokonstantynowskim, odbywszy nauki początkowe w Teofilopolu, udał się do liceum krzemienieckiego, owych niegdyś Aten wołyńskich, gdzie obok innych nauk, kwitnęły i sztuki piękne, a byli zdolni potem nauczyciele, jak np. Józef Franciszek Pitschman,

sławny ze szkoły wiedeńskiej i Lampi'ego portrecista; Jan Larius, wyborny malarz owoców i kwiatów, i inni.

Przybyły młodzieniec, odznaczający się męską pięknoscą oraz pilnym przykładaniem się do nauk, wkrótce zwrócił na siebie uwagę, a gdy jeszcze przytęm z zamiłowaniem oddał się rysunkom i malarstwu, został ulubieńcem Pitschmana i przez niego uzyskał przyjęcie na fundusz Lerneta, przeznaczony

został znów ulubionym uczniem sławnego Orłowskiego.

Tam, po trzechletnim pobycie, ubiegając się o konkursowe nagrody, otrzymał dwa medale srebrne pierwszego i drugiego stopnia za rysunek, a za kompozycją, wyobrażającą Aleksandra macedońskiego, złoty medal. Tak świetne powodzenie, pozyskane w krótkim stosunkowo czasie, przyczyniło się niemało do rozgłosu imienia młodego artysty i otworzyło

mu wstęp do najwyższego towarzystwa stolicy. Przyczyniły się także do tej wziętości i licznie wykonywane przez niego portrety, które, odznaczając się podobieństwem i wykończeniem, pomnażały mu orędowników.

Jako najwięcej obiecujący uczeń, wysłany został w r. 1833 kosztem ministerium oświecenia publicznego za granicę, dla ostatecznego wydoskonalenia się w malarstwie, najprzód do Dreżna, następnie do Włoch. Tam, a głównie w Rzymie, bawił przez lat dziewięć, zjednaawszy sobie wysokie stanowisko w świecie artystycznym. W czasie pobytu w Rzymie znacznie większe utwory jego pędzla były: obraz przedstawiający *Mszę świętą odprawianą przez papieża w kościele św. Piotra i Chrystus wskrzeszający syna wdowy w Naim* (jedna z najlepszych jego robót), oba znajdujące się w Petersburgu. Podobnie wyborne i dokładnie wykonał kopie z Rafała *Madonna di Foligno*, oraz z fresku tegoż mistrza *Atylla idący na zburzenie Rzymu*, za które papież Grzegorz XVI udarował Kaniewskiego medalem złotym i zezwolił mu robić z natury swój portret, który to zaszczyt tylko najslawniejszych artystów spotyka; za wzorowe zaś tego portretu wykończenie, ozdobił naszego rodaka orderem św. Sylwestra (złoty ostrog).

Po powrocie z Włoch mieszkał do r. 1845 w Petersburgu, gdzie oprócz wielu portretów najznakomitszych osób dworu, ukończył zaczęty w Rzymie obraz *Samson i Dalila*, za który mianowany był członkiem cesarskiej Akademii.

W tymże roku przybył do Warszawy, gdzie został nauczycielem w Szkole sztuk pięknych, a publiczność tutejsza ujrzała pierwszy raz jego malarskie utwory na ówczesnej wystawie. Szczególnie nader korzystne uczyniły wtedy wrażenie robione przez niego studia z natury, przedstawiające piękne Transteweranki.

Odtąd sława Kaniewskiego, jako celującego w portretach zwłaszcza płci pięknej, utrwaliła się. Malował też ich wiele, a wszystkie z odznaczającym się po-



KSAWERY KANIEWSKI. (Podług fotografii Sachowicza).

dla zdolniejszych ubogich uczniów. Niebawem utalentowany i urodziwy młodzieniec znalazł wstęp do najpiękniejszych salonów Krzemieńca, a szybko postępując w sztuce, już w r. 1827 był pomocnikiem czyli młodszym nauczycielem rysunków w liceum tamczym. W tymże samym roku zwierzchność szkolna wysłała Kaniewskiego jako stypendystę legatu hrabiego Platerra do Petersburga, dla dalszego kształcenia się w cesarskiej Akademii sztuk pięknych, gdzie

dobienstwem. Obok tego wykonywał obrazy historyczne i religijne, zdobiące świątynie Pańskie, pomiędzy którymi do najlepszych należy obraz *Chrystus Pan w Ogrójcu*, umieszczony w kaplicy rzymsko-katolickiej w instytucie Maryjskim wychowania panien w Warszawie.

W roku 1859 powołany na dyrektora Szkoły sztuk pięknych, pełnił te obowiązki do czasu jej zamknięcia, w końcu zaś był zarządzającym utworzoną na jej miejsce klasą rysunkową.

Ostatniem jego dziełem jest portret czcigódnego rektora Szkoły Głównej warszawskiej Mianowskiego, znajdujący się obecnie na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, w którego komitecie Kaniewski od samego początku jako członek czynny zasiadał.

Nadmiar pracy przyczynił się podobno do skrócenia dni jego żywota. Umarł powszechnie żalowany od współtowarzyszów i licznych znajomych, a wdzięczni uczniowie ponieśli na swych barkach zwłoki nauczyciela, oddając hołd temu, który był przyjaznym przewodnikiem pierwszych ich kroków na ciężkiej drodze artystycznej.

Kronika tygodniowa.

Pisząc kronikę zeszłego tygodnia, trzeba by chyba zapożyczyć pióra od Brillat Savarin'a, albo co najmniej od autorki trzystu sześćdziesięciu pięciu obiadów. Nawiasem mówiąc, niema książki któraby z tą ostatnią mogła współzawodniczyć w powodzeniu, rozeszło się już jej bowiem dotychczas kilkanaście tysięcy egzemplarzy, co dowodnie przemawia za gastronomicznym usposobieniem Warszawian.

Nawet wiekopomne zasady gry bezika nie są tak pokupne. I nie dziwić się temu. Wysoko ludzie muszą cenić podniebienie, kiedy nawet tak je idealizowali w nazwie, a najlepsze dotąd spekulacje są takie, które krążą około tej ważnej części istoty ludzkiej. Rzadka rzecz żeby wykwinny restaurator nie zrobił u nas majątku, a wpaść na pomysł nowego przysmaku, znaczy to odkryć minę złoia.

Więc cofam się przed opisem wszystkich zapasów gastronomicznych, pochłoniętych przez ludność warszawską w tym tygodniu. Co kuchnie popsowały, doktorzy naprawiać muszą i zwykle po świętach wielkanocnych aptekarze zacierają ręce, bo w te błogie czasy odbył zdawia się u nich. Spoglądają więc oni na baby, placki i różne wędliny z tym przekonaniem, że łańciska kuchnia jest zwykłym deserem tych wszystkich biesiad nadetatowych; niema bowiem niezdrowszego jedzenia, jak wszystkie owe świąteczne przysmaki, następujące zaraz po poście i spotykające żołądki żadne ich użycia. Statystyka wykazuje, że po Wielkiójnocy najwięcej wydarza się chorób gorączkowych; w żadnej też porze roku taki kontyngens kartek pogrzebowych nie zdobi rogów ulic jak obecnie.

Tak-bo się wszystko płacze na tym świecie. Znanego filozofa swojego czasu, ksiądz Baka, już to dawno zauważył, a doświadczenie stwierdza każdodziennie prawdy które on pod więszowaną formą podał potomności. To nam przypomina że Tygodnik Ilustrowany, składając hołd temu niedosyć cenionemu myślicielowi, dawno już miał zamiar za pomocą odpowiednich rysunków uwiecznić jego dzieło „O niechybnej śmierci.“ Talentowi artyści nastęczałoby tu się bardzo urodzajne pole, a Baka, do którego znakomici poeci pisali przedmowy, zyskałby wiele na tém ożywcem dotknięciu ołówka rysowniczego. Wszakże z mniejszymi zasługami taniec Makabra francuzki i taniec śmierci Holbeina dostąpiły tego zaszczytu. U nas Baka dosadniej jeszcze przemawia i szerzej przedmiot swój ujmuje za bary. Dlatego spodziewamy się że zamiar ten nie spełni na niczém i z kronikarskiego stanowiska dopominamy się o ziszczenie go u artystycznych naszych współpracowników.

Teatry, po postnym wypoczynku, występują z nowościami, żeby zrobić sobie odpowiedni zapas na letnią porę. Bo rzeczywiście następuje teraz krytyczna dla teatrów epoka: maj, czerwiec, lipiec, sierpień, to prawdziwa plaga widowisk scenicznych; lada żdźbło trawy, lada kwiatek wykwitający na słon-

cu, więcej mają powabów od tekturowych pałaców i płóciennego nieba.

Więc stanęła do szeregu najprzód komedyjka ze śpiewkami „Piosnka wujaszka,“ napisana przez Fredrę syna, o której w bieżącym numerze dajemy osobne sprawozdanie. W przyszłym zaś tygodniu aż dwie nowe sztuki idą jedna po drugiej: komedyjka tłumaczona z francuzkiego „Po dwóch latach“ i komedyja jednoaktowa wierszem Chęcińskiego, „Cicha woda brzegi rwie,“ znana już czytelnikom Tygodnika. Ale scena ma to do siebie, że najbardziej już nawet ocytana komedyja staje się nowością na deskach teatralnych. Jest to zupełnie jakby obraz, którego uplastycznienie biorą na siebie żyjące osoby. Nieuchomość nabiera życia, porusza się, działa, drga, przemawia do głowy i do serca. Artysta dotknięciem swoim zmienia pojęcie jakie sobie wyrobiliśmy o sztuce czytanej; wychodzą nowe strony, nowe odcienia, których nie domyślaliśmy się nawet.

P. Miłaszewski, dyrektor teatru lwowskiego, bawił przez pewien czas w Warszawie, starając się, o ile nas zapewniano, poczynić nowe nabytki dla uświetnienia lwowskiej sceny. Nie wiemy jaki usiłowania jego skutek odniosły; nieraz jednak się zdarza, że artyści i artystki nie używający tu żadnego wzięcia, a nawet uczniowie szkoły dramatycznej, opuściwszy Warszawę, zyskują nagle gdzieindziej rozgłos i ocenienie, i dziwimy się, czytając wielkie, a może zasłużone, pochwały oddawane tym, których przyzwyczailiśmy się tu widywać na ostatniem miejscu. Może zbyt silne w Warszawie współzawodnictwo, albo nastęczające się niebezpieczne punkta porównania ze znakomitościami ustalonej już sławy, przeszkadzają rozwinięciu się tutaj nowych zdolności, które na inny grunt przesadzone, swobodny rozrost mogą zyskać. W każdym razie takie chwilowe dezerce nie są szkodliwymi dla sceny naszój, na której ostatecznie każda odznaczająca się w zawodzie dramatycznym zdolność, powinna znaleźć prędzej czy później stosowne dla siebie pole. Czy tak jest, nie śmiemy twierdzić, ale to pewna, że takby być powinno. Przynajmniej liczne tego mieliśmy dowody, że znakomitsi artyści teatrów prowincjonalnych, stawali się ozdobą sceny naszój. Królikowski i Rychter przybyli już do nas jako koryfeusz sceny krakowskiej; panna Palińska znaczną część swego zawodu artystycznego strawiła w Wilnie; pani Rakiewiczowa przybyła już do nas z ustalonym rozgłosem; Chomiński także opuścił teatr krakowski dla naszego; Damse występował przez kilka lat w Żytomierzu, a i Sawicki jest wychowawcą sceny wileńskiej. W tém wyliczeniu mogliśmy i wiele innych nazwisk pomieścić, a pragnęlibyśmy szczerze, żeby teatry lwowski i krakowski, rekrutujące u nas swój kontyngens dramatyczny, oddawały nam wzajem, (tak jak to dawniej bywało), wyrobionych już artystów. Słyszeliśmy wiele pochwał o pani Modrzejewskiej, o panu Rapackim, o małżonkach Szymańskich, i chętnie pragnęlibyśmy własnoocznym przekonaniem stwierdzić odgłos tych dalekich wieści. Dziwna rzecz zaiste, dlaczego obecnie u nas tak mało artystów przybywa odgrywać role gościnne. Dawniej corocznie zjawiało się trzech albo czterech; teraz ani jedno nowe nazwisko nie zaświeci na afiszu, a choćby dla zadowolenia już tylko prostej ciekawości, byłoby to korzystnym. Czy prowincjonalni artyści tak się lękają sceny warszawskiej, czyli też nie dbają o nią? Może być jedno albo drugie, a prawdopodobnie i jedno i drugie razem.

W teatrze Dobroczynności ciągle odbywają się próby komedji Fredry (syna) „Przed śniadaniem,“ przy której, jako dopełnienie, ma być odegrana (niezależnie od części muzycznej) sztuczka pana T. L. „Co za szansa.“ Pan T. L. odznaczył się już jako autor kilku dowcipnych sztuczek, grywanych na teatrach amatorskich; niektóre z nich nawet prawdziwem cieszyły się powodzeniem. Niełatwą jest rzeczą pisać umyślnie sztuki do amatorskich przedstawień, wymaga to bowiem zupełnie osobnego rodzaju zdolności, i zdarzało się że we Francji pierwszorzędni autorowie dramatyczni współzawodniczyli z sobą w pisaniu podobnych utworów. Zwykle w takich razach Mery celował tak pomysłem jak obrobieniem, i raz na wieczorze gdzie znajdowały się pierwsze paryzkie dramatyczne znakomitości, wezwany z Dumasem ojcem i synem, Gozlanem i Barrièrem, napisał komedyą w przeciągu godziny,

podczas kiedy goście pili herbatę, i odniósł zwycięstwo.

Nie myślimy się wcale równać z Francuzami pod względem pisarskiego wyrobienia, ale to pewna, że w sztuczce przez pana T. L. pisanych, z których kilka znamy, jest wiele ruchu, życia scenicznego i dowcipu, lubo może często zbyt bezwzględnie w cel godzącego. Dlatego dobrzeby było, gdyby w nadziei publicznego ich przedstawienia, autor pomysł o złagodzeniu niektórych ustępów zanadto w oczy bijących.

Litolff powraca do nas, po uzyskaniu niezwykłego powodzenia na kilku koncertach w Petersburgu. Tak więc Warszawa posiadać będzie naraz dwóch pierwszorzędných fortepianistów, bo Antoni Kątski bawi tu jeszcze i ma nawet zamiar wystąpić w przyszłym tygodniu, we środę lub piątek, z koncertem w Wielkim teatrze. Czy nie byłoby pożądanem, żebyśmy mogli Litolffa i Kątskiego usłyszeć na jednej i téjże samej uroczystości muzycznej? Tak się stało kilkakrotnie w Paryżu z Thalbergiem i Lisztem, a w Niemczech, jeżeli się nie mylimy w Wejmarze, z Lisztem i Litolffem. Byłoby to niemałym zaciekawieniem dla tutejszych lubowników muzyki, artyści bowiem w takich razach, podbudzeni współzawodnictwem, starają się przewyższyć jeden drugiego, a publiczność zyskuje na tém.

Zapowiedziany od téj niedzieli za tydzień w reursie Obywatelskiej poranek muzyczny, z powodu celu na jaki urządzony został, licznych zapewne zwabi słuchaczy. Tym razem deklamacya w szerszych aniżeli zwykle wystąpi rozmiarach, ku czemu kilku najznakomitszych artystów sceny warszawskiej zjednoczy swoje siły. Zawsze to nowość; dotychczas bowiem część deklamacyjna w dawanych tu koncertach opierała się zwykle na barkach jednego artysty. Zapewniano nas, że panowie Królikowski i Rychter, oraz panna Palińska, wezmą udział w tym poranku. Nie znamy jeszcze programu, ale, jak słyszeliśmy, Mickiewicz i Słowacki stanowić będą główną jego podstawę. To już wiele, bo piękne wygłoszenie poezji Mickiewicza i Słowackiego za najlepszą muzykę starczy, a tutaj jedno drugiego nie wyklucza wcale.

Drogą telegraficzną otrzymano tutaj wiadomość o niezwykłym powodzeniu jakie uzyskała w Brukselli msza Brzowskiego, wykonana tam w pierwsze święto wielkanocne w katedrze św. Guduli przez stu pięćdziesięciu artystów. Już Fetis listownie wypowiedział panu Brzowskiemu o tym jego utworze bardzo pochlebne zdanie; ale powodzenie wykonania przeszło wszelkie oczekiwania i muzyczni amatorowie dopominają się koniecznie o graduale i ofertoryum tegoż autora. Jestto niemały zaszczyt dla p. Brzowskiego, w świecie bowiem muzycznym sądy Brukselli cieszą się wielką powagą i cenione są na równi ze zdaniem przez paryzkich i niemieckich krytyków objawionem. Niestety! u nas, dla należytego ocenienia talentu miejscowych kompozytorów, trzeba ażeby echo rozgłosu jaki uzyskali w dalekich stronach, obilo się o nasze uszy. Co na to wpływa, czy obojętność na swojskie rzeczy, czy też nieufność do miejscowych utworów? To pewna, że widzieliśmy tutaj utalentowanych ludzi, złamanych przedwcześnie ciągłą walką z przeciwnościami i ogólnym chłodem, a całą ich winą było to, że się tutaj urodzili. Gwiazda muzyczna Szopena zaświeciła dopiero w Paryżu całym swoim blaskiem; artysta polski, żeby być godnie ocenionym, musi odbyć podróż za granicę, a kompozytor, jeśli pragnie widzieć zasługi swoje uznanne, powinien przedewszystkiem starać się o przedstawienie dzieła swojego zagranicą. Dopiero powróciwszy do kraju, z patentem dojrzałości przez zagranicznych krytyków podpisanym, można się spodziewać należytego ocenienia.

Uczniowie warszawskiego Instytutu muzycznego, pod dyrekcją p. Apolinarego Kątskiego, powrócili już do Warszawy, po daniu w Wilnie dwóch koncertów, wielkiem uwiecznionych powodzeniem. Żądano koniecznie od p. Kątskiego powrotu do Wilna w letniej porze, z zapewnieniem, że w téj nawet nieprzyjaznej dla wystąpienia tego rodzaju epoce, można będzie liczyć na tłumne zgromadzenie się publiczności. Pomiedzy innymi wykonaniami tam

przez uczniów Instytutu warszawskiego utworami ogólne zyskał pochwały sekretarza pana Gabryela Rożnieckiego, znany już dobrze tutejszej publiczności.

* * *

Z wielką pociechą wyczytaliśmy zarządzenie zwierzchności miejskiej co do uporządkowania koni, zaprzęgów i samych powozów dorożkarzy warszawskich. Rzeczywiście, niema może miasta w całej Europie tak źle obsłużonego pod tym względem, jak Warszawa. Na oko zdawałoby się dorożek dostateczna liczba; podczas deszczu jednak lub niepogody, spóźnioną zwłaszcza porą, nigdy dostać ich niepodobna. Dawniej przynajmniej na stacyach można było złapać dorożkę; dziś i tam naprózno ich szukać i doprawdy niewiadomo gdzie się podziwiają. A już o nieporządnym urządzeniu tych powozów nie mówimy nawet, bo niema dorożki w którejby można usiąść bez zawalania się, niema drzwiczek któreby się jak należy zamykały i odmykały; często zaś zdarza się, że na najrówniejszej nawet drodze konie stają i pomimo sowitych uderzeń biczem, nie chcą ciągnąć dalej, a gość musi wysiadać jak niepyszny i resztę drogi odbywać piechotą. Kilku dorożek trochę lepszych, niepodobna się za żadną cenę doprosić, poświęcają się one bowiem wyłącznie na usługi złotej młodzieży. Więc reforma tutaj jest bardzo pożądaną, a powodzenie jakie nowowysyłane na miasto jednokonne karétki już zyskały dowodzi, że przy staranniejszym urządzeniu środków komunikacyjnych, i publiczność miałaby dogodność i przemyślowcy zarobek.

* * *

W tych dniach zakończył życie w Warszawie Aleksander Petrow, jeden z najznakomitszych europejskich szachistów. Tygodnik Ilustrowany wielokrotnie zamieszczał zadania szachowe pana Petrowa, a wszystkie one odznaczały się głębokością pomysłu i nader dowcipnym układem. Pan Petrow w ciągłej korespondencji z najpiérwszymi szachistami w Europie, znane są również partye jakie odgrywał z szachistami warszawskimi, na których czele stał słynny w swoim czasie Hoffman. Występując sam przeciwko kilku, dawał chłopca i posunięcie for, a mimo tego wychodził zwycięsko. Wybiórał się podobno na kongres szachowy przy wystawie powszechnej w Paryżu, (o którym, nawiasem mówiąc, otrzymamy szczegółowe sprawozdanie przez jednego z naszych rodaków, który jest sędzią konkursowym), śmierć jednak przeszkodziła urzeczywistnieniu tego zamiaru.

Przegląd polityki zagranicznej.

26 kwietnia.

Odgrózki dzienników francuzkich i pruskich, pogłoski, przypuszczenia, raptowne spadanie renty francuzkiej i ogólny przestach świata giełdowego, stopniowe zmniejszanie się nadziei pokojowych, jednym słowem, ogólna obawa wojny — oto charakter upłynionego tygodnia. Jakkolwiek rządy interesowane nie wystąpiły dotąd z urzędowym oświadczeniem się w jakim bądź kierunku, nie ulega wszakże wątpliwości że kwestya luksemburska do tego zaogniła się stopnia, iż Prusy i Francya weszły na linię pochyłą, po której stoczyć się muszą w otchłań wszystkich nieszczęść wojny. Według zapewnień dzienników zagranicznych, Austria i Anglia oświadczyły już swe przekonania w przedmiocie Luksemburga. P. Beust wyraził zdanie, że Prusacy powinni opuścić twierdzę i księstwo luksemburskie, Belgia zaś przyłączyć je do swoich posiadłości, oddawszy Francji w zamian Marienburg, Philippeville, Montmedy, i Bouillon. Jednocześnie lord Cowley, w imieniu gabinetu londyńskiego, zaproponować miał, aby Prusacy wyszli z Luksemburga, a królowi holenderskiemu pozostawioną była wolność postąpienia z księstwem według własnego uznania. Zdaje się że obie te propozycje nie znalazły w Berlinie przychylnego przyjęcia. Times zapewnia, że według otrzymanych przez niego wiadomości z Berlina, rząd pruski nie cofnie swego wojska z Luksemburga. Jeszcze silniej przemawia pruska urzędowa Nord. Allg. Ztg. „Rząd pruski, powiada to pismo, nie odwoływał się do niczyjego pośrednictwa, a Prusy nie mają ani woli, ani chęci zrzeczenia się prawa załogi“.

To samo mniej więcej utrzymuje Gazeta Krzyżowa, dodając ze swjej strony, że system obrony Niemiec przeciw Francji urządzony został przez mocarstwa sprzymierzone w r. 1815, że nie zależy bynajmniej od zachowania i zniesienia konstytucji związkowej. W obec tak stanowczego i wojowniczego tonu półurzędowej prasy pruskiej, nie można się dziwić że i francuzkie urzędowe organa nie zaniedbują podsycać ognia. Pays wręcz oświadcza, że Francya musi wypowiedzieć wojnę Prusom, jeżeli to mocarstwo pozostanie w Luksemburgu, z pogwałceniem prawa Francji i Holandji. „Cesarz zmuszony będzie ukrócić wygórowane Prus zachęcenia, powiada Pays, zwłaszcza gdy za nami jest opinia publiczna i siła jednolitego francuzkiego ludu, przeciw źle spojonym nowym Prusom“. Przy takiej postawie prasy, nie można prawie spodziewać się zgodnego załatwienia sporu; dzienniki też zagraniczne obliczają już i kombinują kwestyą przymierzy. Times powiada, że najwięcej ma widoków powodzenia przymierze Anglii, Francji, Holandji, Belgii, Szwecji i Danii, co się zaś tyczy Włoch i Austrii, to państwa te pozostaną neutralnymi i dopiéro w razie wybuchu kwestyi wschodniej, czynny w wojnie wezmą udział. Uzbromienia są na porządku dziennym we Francji. Marszałek Mac-Mahon przybył z Algieru do Paryża.

Przewidywane starcie Prus z Francją, obudziło żywą trwożę w mocarstwach Niemiec południowych. Rząd bawarski wysłał barona Tauffkirchen do Wiednia i Berlina z misją poufną i zaproponował wejście południowych Niemiec do Związku północnego, oraz zawarcie przymierza z Austrią. Obie te propozycje nie powiodły się w Wiedniu, gdyż, jak to oświadczył p. Beust, dokonanie ich byłoby pogwałceniem traktatu pragskiego. Cesarz Franciszek Józef, patentem z d. 20 kwietnia, zwołał do Wiednia radę państwa na dzień 20 maja, z wyłączeniem przedstawicieli Węgier, Kroatyi, Dalmacji i Sławonii. Z Berlina donoszą, że wiadomość o uruchomieniu armii pruskiej jest przedczesną, lecz że wszystko jest przygotowane do mobilizacji korpusu gwardyi i czterech korpusów liniowych.

Z Grecyi i Turcyi nowych wiadomości niema. Na groźną notę Porty rząd grecki nie odpowiedział; wysłał tylko do mocarstw europejskich okólnik objaśniający. Jednocześnie wniósł w izbie projekt pożyczki 25 milionów franków na cele wojenne. Skutkiem najbliższym tego kroku było wysłanie dziesięciu świeżych batalionów tureckich na granicę Tessalii. Omer basza znajduje się na Kandyi i uderzyć ma wkrótce na powstańców w 20,000 ludzi.

Sądy hiszpańskie wydały wyrok w sprawie statku angielskiego Queen Victoria, przychylny dla rządu angielskiego. Uznały bowiem zabranie tego statku za nielegalne. Wyrok co do statku Tornado jeszcze nie zapadł. Dzienniki londyńskie donoszą, że agitacja w kwestyi reformy nanowo się wszczęła w Londynie. Prezesem honorowym ligi zostać ma Garibaldi. W Portugalii, w mieście Oporto, wybuchły zamieszki, przytłumione wszakże zostały bez rozlewu krwi. (W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)



Panu Wład. D. z Krzywonosi. Nadesłany artykuł wstrzymać musimy do czasu późniejszego. Żądane papiery pocztą wyprawiamy.

Nieznanego autora artykułu p. n. „O potrzebie założenia u nas Towarzystwa opieki nad zwierzętami“ prosimy o ustne skomunikowanie się z nami.

Panu K. S. N. z Kamiońskiego. Zapowiedziany Przewodnik po Paryżu (Paris-Guide), o ile wiemy, jeszcze nie wyszedł, a więc i cena jego niewiadoma. Każdy księgarz podejmie się chętnie sprowadzenia tego dzieła.

Panu M. D. w Warszawie. Więrsz p. t. „Lzy zachwytu“ drukowany nie będzie. Przebiega w nim jednak zdolność, wkładająca na nas obowiązek zachęcenia autora do dalszej nad sobą pracy.

SPROSTOWANIE.

W ostatnim numerze Tygodnika, w odczycie prof. Struve'go „O estetycznym wychowaniu kobiety“, str. 189, szp. 3, wiersz 5 od góry, zamiast: *muzykalna*, powinno być: *nietykalna*.

Najnowsze odkrycia,

wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

(Dalszy ciąg)

Wiadome są niedogodności wynikające z nieregularnego palenia się płomienia gazowego. Światło powiększa się, zmniejsza, albo gaśnie i to częstokroć w chwili gdy jest najpożądanym. Zmienność owa pochodzi od siły ciśnienia gazu: z powiększeniem tego światło staje się silniejszym, z pomniejszeniem słabnie; ztąd nieporządek lub koszt niepotrzebny. Za pogaszeniem kilku lub kilkunastu kranów, gaz, nie mając tam ujścia, zwraca się z większym ciśnieniem w pozostałe płonące i zwiększa wydatek; zmniejszenie bowiem siły płomienia za pomocą kruczków zaradza tylko chwilowo i wymaga ciągłej prawie bacności. Jest więc zadaniem niezmiernie ważnym zapobiedz owym zmianom z zewnątrz pochodzącym w taki sposób, aby gaz nie zużywał się w większej ilości nad potrzebę. Rozwiązaniem ono zostało najzupełniej przez p. Garnier'a. Odtąd użytkujący z gazu jest panem światła, które woli jego ulegać musi. Przyrząd wyborczy jest pomyślany; bez pomocy człowieka wydziela ciągle kranom stosowną ilość gazu, za pogaszeniem zaś iluokolwiek płomieni, pozostałe żasila najregularniej.

Przyrząd Garnier'a, którego kształt zewnętrzny ma pewne podobieństwo z barometrem konstrukcyi zegarowej, stanowi pudło metalowe prostokątne. Wewnątrz w małą przegrodę gromadzi się gaz rurą napływający; ponad nią jest gazometr w miniaturze czyli dzwon, którego część wewnętrzna nurza się w wodzie w $\frac{3}{4}$ częściach, za pomocą stosownej przeciwwagi; gaz dostaje się do tego gazometru, a ztąd do rur rozprowadzających przechodzi. Główną sprężyną całego mechanizmu jest otwór komunikacyjny pomiędzy przegrodą a gazometrem, regulowany za pomocą szufiadki, którą sam gazometr w ruch wprawia. Kiedy dzwon wznosi się nad wodę, unosi zarazem szufiadkę, a tęp samym zmniejsza przestrzeń zajętą napływającym gazem; przeciwnie kiedy dzwon obniża się, przestrzeń takowa powiększać się musi. Jeżeli wywiąże się zewnątrz nagle mniej gazu, mały gazometr podniesie się, popchnie szufiadkę i zmniejszy w części powyższą przestrzeń, dopóki ilość napływającego gazu nie wyrówna ilości wypływającego; przeciwnie z powiększającym się wydatkiem gazu, gazometr obniży się i powiększy przestrzeń i tym sposobem równowaga między przyływem a odpływem będzie się przywracać bezustannie. Co się zaś tyczy ciśnienia, to zawsze pozostanie niezmiennym, ponieważ jest oznaczone i utrzymywane ciągle przeciwwagą. Małe ząbienie nadaje prócz tego igielce znajdującej się na cyferblacie, umieszczonym zewnątrz pudła, ruch wskazujący zmiany w gazometrze zachodzące. Cyferblat podzielony jest na 100 równych części, przedstawiających wydatek gazu odpowiedni całkowitemu otworowi komunikującemu gazometru; inne podziały wskazują wydatek odpowiedni połowie lub $\frac{1}{4}$ części tegoż otworu. Jeżeli igielka np. jest na 25tym stopniu, wydatek gazu będzie wyrównywał objemowi $\frac{3}{4}$ części otworu gazometrowego.

Igielka oznacza z wielką dokładnością zmiany czy to zachodzące w ciśnieniu gazu w fabryce, czy w kanałach podziemnych. Nie potrzebujemy dodawać, że za pomocą tej metody wykrywa się niezwłocznie najmniejszy upływ; gdy otwór gazometrowy jest zamknięty, a upływ się objawi, gazometr przyrządu obniży się, igła zbacza i wprawia w poruszenie dzwonek ostrzegający. W urządzeniu tém potrzeba aby poziom wody około gazometru był niezmienny; dla zaradzenia przeto jój parowaniu, napełnia się mały zbiornik górny co pół roku wodą, która spływa w małej ilości za pomocą rurki. Wszystko tu jest przewidzianem i odpowiednio urządzenem.

Regulator Garnier'a działa już od roku z nieporównaną dokładnością, a oszczędność na tym przyrządzie co do zużywania gazu wynosi do 25%, jak tego liczne doświadczenia dowiodły. Bez wątpienia przeto użyteczny ten aparat wszędzie znajdzie zastosowanie.

* * *

CHARAKTERYSTYKA OBIADÓW.

Pomysł i rysunek H. Pillatego.



Obiad *comme il faut*, między 7 a 9tą.

Przyrządy Galibert'a do oddychania swobodnego w każdej, choćby najduszniej atmosferze, powinny zająć miejsce w szeregu tych wynalazków, które stanowią epokę w dziejach postępu: odpowiedziały one powszechnym życzeniom i przyjęte zostały po odbytych doświadczeniach z zapalem, co najlepiej o ich użyteczności uprzedza. Przyrządy te są dwojakiego rodzaju: rury oddychalne bez rezerwoaru z powietrzem i przyrząd z rezerwoarem powietrznym. Pierwsze stanowią dwie rury sprzężone z sobą, od 25—30 metrów długie, a 15 do 20 milimetrów średnicy wewnątrz mające, z kauczuku wulkanizowanego, opatrzone sprężyną z metalu, aby nie mogły się płąszczyć. Końce ich wolne nurzają się w powietrzu czystym zewnętrznym, przeciwne zaś im końce przytwierdzone są do gatunku rożka z kości słoniowej lub z rogu wyrobionego, który wkłada się w usta. Rowek idący około rożka pozwala utrzy-

mać go z łatwością pomiędzy zębami, przy współczesnym warg; w ten sposób wszelki związek z żywiołem otaczającym robotnika jest niemożliwy. Jedna z rur służy do wprowadzania powietrza wciągającego, druga do odprowadzania wyziewanego. W tym celu rożek opatrzone jest dwoma otworami oddzielnymi, odpowiadającymi każdej w szczególności rurze; robotnik językiem zamyka i otwiera kolejno jeden po drugim otwór, a ruchy tego organu odpowiadać winny poruszeniom piersi; gdy jama piersiowa rozszerza się, otwór rurki wciągającej jest otwarty, otwór zaś rurki odprowadzającej powietrze wyziewane zamknięty; gdy zaś jama piersiowa kurczy się, poruszeniem języka otwiera się rurka odprowadzająca powietrze zużyte, a zamyka dostarczająca powietrze czyste. Stosownie urządzone cążki zamykają nozdrza, nie pozwalając przeciskać się w nie otaczającemu robotnika żywiołowi, najslabszy zaś ruch językiem wystarcza do utrzymania jednostajnego i swobodnego oddychania.

Drugi przyrząd wynalazcy składa się ze zbiornika z kozłej skóry, przyrządzonej podobnie jak używana w Hiszpanii do przenoszenia tłuszczów, z której tam tak zwane buksy wyrabiają; nie przepuszcza ona powietrza, a w ogniu w czasie pożaru nie zsyca się, ale powiększa jeszcze swą giętkość, w skutek rozpuszczania się przejmującego ją wskrósł tłuszczu. Do tego zbiornika, objętości od 12tu do 25 garncy, przytwierdzona jest podwójna rura z kauczuku wulkanizowanego, długości około 21 cali, a prawie 10 linii w średnicy mająca. Obie rury schodzą się jednemi końcami w rożku podobnym do poprzedniego, pozostałymi zaś końcami łączą się jedna ze spodem, druga z wierzchem naczynia skórzanego czyli buksu. Za pomocą poruszeń języka powietrze wyziewane płynęłoby rurką górną, czerpane zaś dolną; w praktyce jednak wzięwanie i wyziewanie może odbywać się przez obie rurki jednocześnie, a nadając im mniejszą długość, można je razem połączyć ze spodem zbiornika, który nosi się na plecach, jak tornister żołnierski. Ciężar całego przyrządu, choćby największego, z cążkami na nozdrza, z okularami, mieszkim służącym do wydymania zbiornika i z pudełkiem blaszanym obejmującym to wszystko, wynosi najwyżej 4 i pół funtów. Kiedy robotnik ma zapuścić się w miejsca przesycone wyziewami szkodliwymi, zarzuca na plecy zbiornik, do wydęcia którego minuta wystarcza, rurki przeprowadza pod ramiona, aby zostawić ręką ruch swobodny, rożek osadza w usta, cążki kładzie na nozdrza, okulary o szklach wypukłych, w oprawie miedzianej, na oczy, a sznurek kauczukowy, przytwierdzony do okularów, okręca się około głowy i utrzymuje takowe silnie, pomimo wszelkich poruszeń ciała.

Za pomocą pierwszego przyrządu Galibert'a, zapuszczać się można bezpiecznie w podziemia, studnie, doły przepelnione nieczystościami, kopalnie, słowem wszędzie gdzie oddychać niepodobna



Obiad obywatelski, między 12 a 2gą.

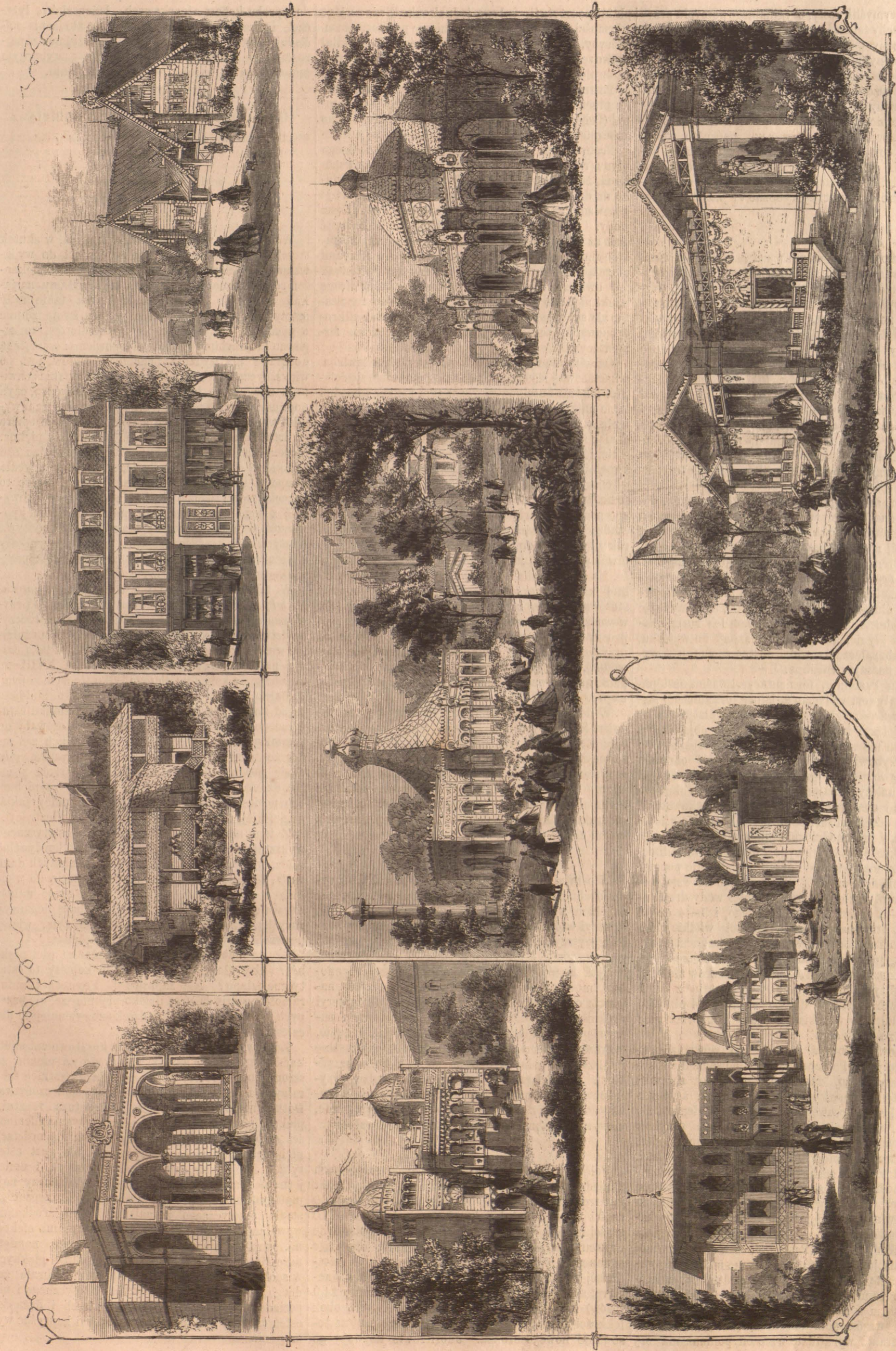
bez niebezpieczeństwa, przyrząd atoli ze zbiornikiem jest o wiele użyteczniejszym. Robotnik nim zaopatrzony, jest zupełnie swobodny, a nadto pozostawać może w miejscach tych nierównie dłużej, zwłaszcza gdy zaopatrywać go będzie można w dostateczną liczbę zbiorników napełnionych świeżym powietrzem, przy ratowaniu zaś górników w razach wypadku, aparat wynalazcy będzie nieoszacowanym. Próby z nim odbyto liczne i rozmaite w Paryżu, Cherbourgu, Hawrze, Mulhouse i Londynie. Galibert, uzbrojony swym tornistrem, wchodził w ciasne izdebki, umyślnie napełnione gazami kwasu siarkowego lub saletranowego, i w tej duszącej atmosferze zostawał przez 20 minut, nie doznając najmniejszego zakrzuszenia. Rozpowszechnienie jego przyrządu było tak szybkie, że wypadało się spodziewać podrożeń znacznego buksów bez szwu, a może zupełnego ich wyczerpania. W przewidywaniu tej wynikłości,



Obiad ze względną usługą.



Obiad z pospieszną usługą.



Wystawa międzynarodowa w Paryżu.

1. Pawilon belgijski. — 2. Dom dla robotników paryżkich. — 3. Dom dla robotników paryżkich. — 4. Domki wiejskie rosyjskie. — 5. Pawilon tunezański. — 6. Pracownia fotograficzna. — 7. Pawilon portugalski. — 8. Pawilon turecki. — 9. Pawilon szwajcarski.

Galibert wymyślił nowy, oryginalnego pomysłu przyrząd z blachy żelaznej, podobnego kształtu co zbiornik skórzany. Ma on jedno dno metalowe, drugie zaś dno zamyka worek ze skóry zwyczajnej, téż samej objętości co zbiornik metalowy. Jeżeli chodzi o wypuszczenie powietrza, wprowadza się worek skórzany do zbiornika w ten sposób, aby wszędzie szczelnie do ścian jego dostawał; kiedy zaś potrzeba napełnić go powietrzem, poprostu worek skórzany cofa się, a powietrze wtedy spieszniej napływa niż przy użyciu mieszka. Budowa prosta, koszt mały, użyteczność niezaprzeczona i odpowiednia potrzebie, zalecają wyborne te przyrządy wynalazcy.

* * *

Wiadomo jak częstemu psuciu się ulegają wina, zwłaszcza francuzkie; smak ich zmienia się, przejrzystość niknie, a wartość stosunkowo się obniża. Wykryć przyczyny tego i podać sposoby zapobiegające owym zmianom, oto zadanie, które po dziesięcioletnich doświadczeniach rozwiązał najpomyślniej znakomity uczony p. Pasteur. Poprzednicy jego psucie się objaśniali już to wzajemnym oddziaływaniem na siebie pierwiastków, już zbytkiem fermentu, któremu Fabroni chemik florencki przypisywał charakter substancji białkowych. Lavoisier przypuszczał, że w czasie fermentowania zachodzą pewne przemiany, że cukier rozkłada się w obecności drożdży i fermentu na alkohol i kwas węglany; szukano wreszcie przyczyny zmian w obecności materij azotnych.

Pasteur, odrzucając te wszystkie tłumaczenia, dowodzi że zachodzące w winie zmiany pochodzą od wpływów zewnętrznych, a mianowicie od roślinności pasożytniej mikroskopowej, która dostaje się do wina za pośrednictwem powietrza i rozwija tam w pewnych sprzyjających warunkach. Pasożyty te zmieniają rozciek, bądź pozabawiając go niektórych pierwiastków służących im za pożywienie, bądź wydając nowe produkta, będące następstwem ich rozmnażania się w płynie, a ztąd przychodzimy do wniosku, że dla zabezpieczenia wina dostatecznym jest wyniszczyć pasożyty roślinne.

Według Pasteur'a, fermentacja kwaśna następuje pod wpływem wyłącznym istoty organicznej *mycodermy octowej*, działającej jak gąbka platynowa na tlen powietrza; kwaśnienie nigdy nie objawia się, jeżeli płyn nie zawiera w sobie tej mikroskopowej pleśni grzybowej. Drugi gatunek pleśni odróżnia on nazwą *mycodermy winnej*. Pierwsza, to jest pleśń octowa, należy do najprostszego ustroju roślinnego; składa się ona głównie z wianków łądkowatych, lekko ku środkowi ścięśnionych. Średnica młodej mycodermy przechodzi zaledwie 0,001 milimetra, a długość każdej łądki wynosi około 0,003 milimetra. Rozradzają się one przez wydzielanie poprzedzone ściśnięciem się. Wystawiając na działanie powietrza płyn złożony ze 100 części wody drożdżowej, z 1—2 części kwasu octowego i 3—4 części alkoholu, otrzymać można z łatwością wielkie mnóstwo owych mycodermy; powietrze przynosi wtedy nasionka potrzebne i objawia się wkrótce pleśń octowa, ze splatających się z sobą wianków złożona; co się zaś tyczy pleśni winnej, ta powstaje z kulek jajkowatych średnicy daleko większej, i nietylko nie szkodzi przy wyrabianiu wina, lecz przeciwnie jest bardzo użyteczną.

Dla powstrzymania od dalszego zepsucia kwaśniejszego wina, Pasteur używał z powodzeniem potażu kaustycznego, nasycając nim winny roztwór; dodatek ten nie psuł bynajmniej zapachu, a po zniknięciu kwasu octowego, smak wina polepszył się znacznie. W nieobecności tylko owych grzybów pasożytnych, albo téż kiedy ich rozwijanie się jest powstrzymanem, wino może starzeć się i ulepszać. Korzystne zmiany, zachodzące w niem skutkiem czasu, pochodzą ztąd, że ono zwolna pochłania tlen powietrza. Przy zbyt gwałtownym działaniu tlenu rozcieki winne wietrzeją i zapach tracą, jak to okazał Bertholet; powolne zaś działanie tlenu ulepsza wino. Według opinii Pasteur'a, tlen tworzy wino, wpływa na jego dobroć, nadaje mu smak i sprowadza rozmaite osady w kadziach i w butelkach, w które nie powinno być ściągane dopóty, póki nie pochłonie tlenu w ilości odpowiedniej swój potrzebie. Dodatek kwasów, soli, alkoholu, garbniku, siarki, żywic ochrania wprawdzie wino od pomnażania się

pleśni pasożytniej, wpływa jednak szkodliwie na jego własności higieniczne; wynalezienie przeto procesu, któryby, obok niszczenia mycodermy, nie zmieniał głównych przymiotów płynu, jest postępem niezmiernie ważnym. Odkrycie tego środka winiśmy p. Pasteur. Polega on poprostu na ogrzewaniu wina przez kilka minut w temperaturze 50°—60° stopni (Celsiusza), skutkiem czego giną pleśnie, a wino zabezpieczonem zostaje od zepsucia.

Próby użycia ciepła do ulepszenia szlachetnego płynu robiono już w starożytności. Pliniusz wspomina, że niektóre gatunki win w tym celu wystawiano na działanie słońca. Columelle powiada, że je gotowano, za poprzedniem dodaniem w małej ilości wody. Scheele radzi przed ściąganiem gotować ocet aż do zawrzenia. Appert nakoniec zaleca takie same postępowanie z rozciekami i materjami ulegającymi łatwo zmianom. Wszystko to jednak nie uwłacza zasłudze p. Pasteur'a, który drogą nauki nietylko przyszedł do tegoż samego rezultatu, ale szukając przyczyn, odkrył świat istot mikroskopowych, tak przeważnie wpływających na fermentację.

Ogrzewanie wina w butelkach jest niekosztownem, a zastosować się daje tak do wina mającego się ściągać, jakotéż butelkowanego; w tym jednak ostatnim razie należy je oddzielić od osadów za pomocą przelania w nowe butelki, które korkują się, przytwierdzając korek drutem i wnoszą w koszu do kąpieli z ciepłej wody. Jednocześnie wstawia się butelkę napełnioną wodą z ciepłomierzem. Ciśnienie płynu podczas ogrzewania usiłuje korki wysadzić, czemu jednak drut przeszkadza, wino tylko sączy się trochę pomiędzy korkiem a szyjką. Kiedy butelki ostudzą się dostatecznie, uderzeniem wypycha się korek głęboko, odejmuje drucik i prznosi wino do piwnicy, a odtąd już ono zepsuciu podpadać nie może. Na większą skalę ogrzewanie urządza się w wielkiej kadzi, poprzedzielanej półkami opatrzonemi stosownymi otworami na butelki, nurzające się w wodzie stopniowo ogrzewanej parą, albo téż poprostu w obszernych kadziach, zabezpieczonych od przystępu powietrza i ogrzewanych za pomocą pary wodnej, obiegającej wężownicę. W tym razie ściąganie następować powinno, gdy rozciek jest jeszcze ciepły.

W listopadzie r. z. komisya wyznaczona przez syndykata handlowy win w Paryżu, rozpoznawała wartość stosunkową win tak ogrzewanych, jakotéż otrzymanych zwykłą drogą. Składali ją znawcy, a system wynalazcy zyskał jednogodnie pierwszeństwo. Chodzi teraz o to, czy i inne wina dadzą się ulepszać za pomocą powyższej metody. Komitet centralny rolniczy w Solonii uchwalił dla p. Pasteur'a medal złoty, wartości tysiąca franków.

* * *

W ostatnich czasach dokonaniem zostało odkrycie obchodzące żywo przemysł lniany. P. van der Schelden wynalazł sposób przyrządzania z chmielu materij włóknistej; tkanina jest grubą, mocną i daleko wytrzymalszą od płótna. Po zebraniu kwiatu rośliny, odcina się łodygi, układa je w pęczki i moczy jak konopie, co jest tu najważniejszą czynnością, moczenie bowiem niestaranne nie pozwala należycie oddzielać się powłoczce korowej od materij włóknistej. Po dokładnem wymoczeniu łodyg, suszy się je na słońcu i miedli tak samo jak konopie, przyczem włókno oddziela się z łatwością; czesanie i dalsza manipulacja odbywa się zwykłym porządkiem. Łodygi grubsze dają włókno bardzo przydatne do fabrykacji wyrobów powroźniczych, a tkaniny wszelkie z chmielu, tą drogą otrzymywane, mają się podobno zalecać niepospolitą trwałością.

* * *

Połączenia aluminium w pewnych stosunkach z miedzią dają tak zwany bronz aluminowy. Aliaz jest trojkiego gatunku, według tego jak na 100 części aluminium dodaje się 5—7 i pół albo 10 części miedzi; ten ostatni stosunek daje połączenie najtwardsze, najwytrzymalsze i najmniej ulegające zmianom. Wyrobem tej nowój kompozycji metalicznej zajmuje się zakład p. Pawła Morina w Nantterre; sztabka aliażu ważąca kilogram (2 funty 14,9 łutów) kosztuje 15 franków, a nizka ta cena, obok lekkości i mocy, wpłynęła na coraz szersze zastosowanie nowego bronzu. Jubilerowie używają go

do wyrobu kopert zegarkowych, łańcuszków, łyżeczek i grabek deserowych, które do złudzenia naśladowują złoto. Obok tego może on przyjmować najrozmaitsze kształty, a tém samém jest wybornym materiałem do wyrobu przedmiotów sztuki.

(Dokończenie nastąpi.)

O estetycznym wychowaniu kobiety.

Wykład publiczny, miany w auli Szkoły Głównej, dnia 29go marca 1867 roku,

przez

prof. dr. Henryka Struve.

(Dokończenie).

Widzieliśmy wyżej, że każda kobiéta, w skutek swych zajęć i stosunków, zmuszona jest do wydawania ciągłych sądów estetycznych, sądów piękności różnych rzeczy. Lecz jeżeli się zapytamy na jakiej podstawie większa część kobiet takie sądy estetyczne wydaje, na czém opiera swoje zdanie o piękności lub niepiękności przedmiotów, to zapewne nie chybimy prawdy gdy powiemy: ostateczną podstawą dla wydania podobnych sądów jest po większej części jakieś niejasne poczucie, jakieś chwilowe upodobanie bez dostatecznych przyczyn, czyli poprostu powiedziawszy—*kaprys*. Kaprys ten wynika wprawdzie z różnych motywów, czasem opiera się istotnie na pewnym wrodzonym poczuciu piękna, czasem jest natury czysto osobistej, wydając sąd o jakimś dziele nie wedle jego treści, ale wedle sympatyj lub antipatyj dla jego autora, które to uczucia znowu dadzą się bardzo często wyprowadzić z jego przyjemnej lub mniej przyjemnej powierzchności. Zawsze jednak, choćby i motywa estetycznego kaprysu naszych pań nie wynikały z żadnych względów osobistych, są przecież przypadkowe, zmienne i nieoznaczone.

W takim kapryśnym i bezzasadnym pojmowaniu leży bezwątpienia przyczyna tak wielkiego przywiązania kobiet do *mody*. Najszpetniejsze rzeczy, najdziwaczniejsze stroje, na które zapewne późniejsze wieki z równą ironią spoglądać będą, z jaką dzisiaj patrzemy na sztywne ubiory wieku XVIII-go, podobają się kobietom dlatego tylko, że są modnemi, że należą do nowości. A niestety, tylko mniejsza część kobiet posiada tyle wyrobionego smaku estetycznego, aby te modne nowości zastosowała do prawdziwych wymagań piękna; wiele z nich zaś sądzi że zjedna sobie podziw towarzystwa, gdy modę posunie do ostateczności, gdy wyrobi z siebie dzieło, którego fotografia mogłaby zająć bardzo pocieszne miejsce na ostatniej stronie jakiejś angielskiej, francuzkiej lub niemieckiej ilustracji.

Z tego samego braku gruntownego estetycznego wykształcenia wpływa druga, również kardynalna wada, właściwa może i znacznej części naszych dam, wada, że całe serce swoje, zdolne przecie do wielkich i szlachetnych wzruszeń, całą swoją miłość zwracają ku próżności, że więcej kochają elegancją parzykłą, niż społeczeństwo w którym żyją, więcej przypekach i wystawności, niż mężów i dzieci.

Czy to mają być prawdziwe dążności płci pięknej? Czy dlatego wyrobiły sobie kobiety to estetyczne miano? Nie zaprawdę! Prostota i naturalność po dziś dzień są daleko piękniejsze, niż przepych i elegancja, a nadto daleko zbawienniejsze dla całego społeczeństwa.

Za powyższemi, nieraz bardzo kosztownemi skutkami kapryśnego zapatrywania się na piękno ze strony kobiet, idzie wielkie zło dla wszystkich moralnych i estetycznych stosunków społeczeństwa. Dotkniemy tylko ostatnich. Literatura i sztuki piękne, przeznaczone do podtrzymywania idealności człowieka, stają się przy takich dążnościach płci pięknej również kapryśnemi, jak gust estetyczny kobiet, utracają wszelką poważną i umiejętną podstawę i schodzą w końcu do niziny najmateryjalniejszej prozy. Podrażnienie zepsutego smaku estetycznego jaknajsilniejszymi środkami, wywołanie sposobem sztucznym, zręcznemi efektami, wrażeń nienaturalnych, poruszenie namietności, oto cała treść literatury i sztuk pięknych w społeczeństwie, gdzie kobiéta nie odebrała żadnego poważnego wykształcenia estetycznego i nie posiada żadnych wznioślejszych potrzeb i dążności estetycznych, nad powyższe próżne i kapryśne wymagania.

Ale mimo tych zdań, proszę jednak bardzo, aby mnie nie miano za pesymistę, widzącego tylko złe, z zaniedbaniem dobrego co go otacza. Owszem, na żadne społeczeństwo nie patrzę zbyt czarno, bo sądzę że wszędzie i zawsze, w każdym zakątku ziemi gdzie żyje człowiek, żyje zarazem i duch postępu, duch dążący do ustalenia coraz doskonalszego, tak materialnego jak i moralnego dobrobytu.

I u nas kobiety pod niejednym względem odpowiadają swemu idealizującemu przeznaczeniu i pracują nad swoim estetycznym wykształceniem. Udział płci pięknej nietylko w literaturze, ale i w sztukach pięknych, wymagających nieraz usilnej pracy, jest tego najlepszym dowodem. Dość znaczna liczba naszych młodych pań nie zadowala się lekką muzyką salonową, powierzchownym przyswojeniem sobie biegłości w tej sztuce, lecz szuka w Instytucie muzycznym gruntowniejszego estetycznego wykształcenia. Inne, przy równie wytrwałej pracy, rozwijają swój talent do rysunku i malarstwa i albo poświęcają się zupełnie tej sztuce, albo spokrewnionemu drzeworytnictwu, otwierającemu tak piękną praktyczną działalność dla estetycznego usposobienia kobiety, lub też oddają się fotografii, nie mogąc zadosyćczynić wymaganiom czasu, bez odpowiedniego estetycznego wykształcenia. Inne jeszcze szukają w szkole dramatycznej sposobności do rozwoju swego artystycznego uzdolnienia. A oprócz tego wszystkiego, jakież obszerne pole praktycznej działalności otwiera się dla każdej kobiety chcącej *pracować* na niwie estetycznej, w robotach ręcznych i galanteryjnych, wpływających bezwątpienia bardzo silnie na rozwój dobrego smaku; w umiejętnym pielęgnowaniu kwiatów, które nie potrzebuje być tylko przedmiotem zabawy i kapryśnego zamiłowania, lecz przedmiotem *pracy* i środkiem wyrobienia dla niejednej kobiety samodzielnego materialnego stanowiska. A w końcu nauczycielska działalność w sztukach pięknych i we wszystkim co się łączy z estetycznością, czyż nie otwiera obszernego pola dogodnych zajęć, przynoszących istotną korzyść społeczeństwu, a dla kobiet odpowiedni zawód praktyczny?

Lecz do tego wszystkiego potrzeba *pracy*, pracy umiejętnej i wytrwałej, potrzeba prawdziwie dobrego i gruntownego estetycznego wychowania kobiety. Do tego nie dosyć, abyśmy naszym dzieciom i paniom opowiadali historyjki o zaklętych księżniczkach, pałacach kryształowych, o stołach zastawionych srebrem i złotem, lub kazali im się uczyć na pamięć kilku poezji i taktów i czułych; niedosyć aby umiały się trochę popisywać na fortepianie i znajdowały upodobanie w owój, jak ją *Józef Kremer* trafnie nazywa (*) „lekkonogiej i płochoserciej muzyce salonowej, co hasa rozhukanym szaleństwem;“ niedosyć aby umiały wziąć ołówki do ręki i przerysowywać wzorki rozmaite, lub przy pomocy starszych dokonać jakiej zbytkownej robotki ręcznej. To wszystko są bawidła, które pielęgnują rozmarzoną fantazję dziewczynek, ich chęć do popisów, ich próżność i powierzchowność, zamiast kształcić serce i uczucie, kierując prawidłowo niewieścią fantazją, aby się stała użyteczną dla społeczeństwa.

Prawdziwe estetyczne wychowanie kobiety, wymaga zupełnie różnego postępowania. Prawda że zawsze sztuki piękne, poezja, muzyka, malarstwo i spokrewnione z niemi sztuki naśladownicze, jak rysunek i roboty ręczne, będą dla nich nagłówniejszymi czynnikami estetycznego wychowania. Ale tylko godny i poważny użytek tych sztuk pięknych, połączony koniecznie z elementarnym wykładem estetyki, ze wszczepieniem w wrażliwe serca dziewczynki jasnych pojęć o wymaganiach prawdziwego piękna, zachwycającego czystością i prostotą swoją, ochronić może płęć żeńską od estetycznych kapryśków i naznaczyć jej poważniejsze i wznioślejsze cele dla dobra społecznego.

Już dla samego braku czasu nie możemy się tutaj zastanawiać nad szczegółowymi wymaganiami prawdziwie estetycznego wychowania kobiety. Szło nam też tylko o ogólne poruszenie tej kwestyi i wykazanie jej ważności. Przy tém wszystkim jednak, niech mi wolno będzie w końcu pokrótce tylko wska-

zać, jaki należy zrobić użytek ze sztuk pięknych, mianowicie z poezji, muzyki i malarstwa, rysunku i robót ręcznych w estetycznym wychowaniu płci żeńskiej i jak je do tego wychowania najodpowiedniej zastosować.

Co się najprzód tyczy *poezji*, to ta zapewne należy do najwrażliwszych czynników w wychowaniu młodych serc niewieścich. Te swobodne i niewinne istotki spoglądają na wszystko z poezją prawdziwą i czystą. I Bóg i świat, i rodzina i życie domowe spletają się dla nich w jeden piękny wianek, w jedną piosenczkę naiwną i serdeczną. Bodajby wychowanie środkami sztucznymi nie naruszało tej nawniej poezji, pełnej prostoty i naturalności, pełnej rzeczywistości i życia!

Najbliższą jest rzeczą, gdy w wychowaniu używamy poezji do tego, aby wytworzyć w umyśle i sercu dziewczynki jakiś świat nadziemskich mar, świat cudów niesłychanych, w którym wszystko się odbywa wprost przeciwnie aniżeli w rzeczywistości tu na ziemi się dzieje. Jeżeli na ziemi wszystko zależy od stałych praw, jeżeli tu tylko *pracą* można osiągnąć dobrobyt materialny, a tylko dobrem wychowaniem i nauką, postępowaniem szlachetnym i szczerem zjednać sobie szacunek u ludzi; to czemuż wielu szuka poezji w tém, gdy przedstawi dzieciom bajeczny świat, w którym bogi i dobre duchy bez naszego udziału wszystko robią, w którym można znaleźć bogactwa bez pracy, a uzyskać godność królów i panów bez wszelkich do tego podstaw? Cóż za dziwy, że przy takiej poezji, panią, dorósłszy, marzy o jakimś zaczarowanym księciu, który się jej zjawić musi, o pięknych sukniach jakich dotąd nikt nie nosił, o jakimś życiu niesłychanie błogiem i szczęśliwym, że znajduje większe upodobanie w sztucznie wymyślonych i sztucznie napisanych romansach, aniżeli w nawniej i naturalnej poezji, idealizującej samo życie?

Poezja jaskrawa Tysiąca i jednej nocy, dobrą jest dla narodów wschodnich, żyjących w przepychu i zniewieściałości. Narody europejskie, przeznaczone do pracy, potrzebują mniej fantastycznej, a bardziej naturalnej poezji.

Poezja, jako środek estetycznego wychowania, powinna też mieć zupełnie inne dążności. Jej główny cel polega na obudzeniu w dzieciach zamiłowania do świata rzeczywistego, naturalnego, do tego co jest w istocie, bo to jest *najpiękniejszym*, jest dziełem Boga prawdziwego, lub wynikiem sumiennej pracy człowieka; gdy tymczasem ów świat cudów i marzeń jest dziełem fantazyi postępującej po błędnych manowcach, gdy utracą z oka rzeczywistość, gdy nie wyrasta z jej stałego gruntu. Kwiat fantazyi tylko o tyle jest żywym i trwałym, o ile korzenie jego tkwią w ziemi.

Niech tedy i dziecko przywyka do poetycznego zapatrywania się na to co jest, na najprozaiczniejsze stosunki domowe, niech wszystko co je otacza przejmie z sercem żywym, z prawdziwą miłością, a bezwątpienia w późniejszym życiu nie będzie rozczarowaniem, nie znajdzie prozy, gdzie się spodziewało wymarzonej poezji, lecz zdolnym będzie do zapatrywania się ze szlachetnością i idealnością na najprozaiczniejsze obowiązki życia, na codzienne działania praktycznego zawodu. Czyż życie takie, jakie jest, z całym swoim szczęściem i nieszczęściem, z całą pracą i trudem, ze wszystkim co serce podnosi i przygnębia, nie posiada jaknajwiększego poetycznego powabu, nie zawiera w sobie wszelkich pierwiastków rzewnej liryki, spokojnej epeji i energicznego dramatu? Pocóż zatem wprowadzać dzieci do świata obcego, z którym się nigdy nie spotkają, zamiast przygotować je na to, co je w istocie czeka, na to, co jest niezbędnie potrzebnym dla ich rozwoju i doskonałości?

Obok takiego bardziej rzeczywistego i realnego kierunku w poezji, należałoby już wcześniej zaznajomić panią z elementarnymi zasadami teorii poezji, żeby rozjaśnić ich umysł i wykazać prawa jakim poetyczna fantazja podlegać winna.

Również wrażliwym i powszechnie w użyciu będącym czynnikiem w wychowaniu płci żeńskiej jest *muzyka*. Muzyka jest sztuką oddziaływającą ze wszystkich najpotężniej, bo bezpośrednio na serce człowieka. Dźwięk wnika najgłębiej w duszę ludzką, przenika ją nawskróś; gdy tymczasem utwory fantazyi i wrażenia światła wywierają większy wpływ na powierzchnię naszego bytu umysłowego. Od

właściwego użytku muzyki w wychowaniu, zależy też głównie rozwój serca i uczucia dziewczynki. Muzyka lekka, powierzchowna, drażniąca tylko słuch, a nie wnika do serca, pociąga za sobą i powierzchowne, roztrzępane uczucie.

Uczymy nieraz z wielką starannością nasze dzieci *religii*, ale zapominamy, że u dziecka religia nie jest niczem innem, jak poważnym uczuciem wzniosłości i że właśnie poważna muzyka, akordy pełne uroczystości i religijnej prostoty, uprawiają najlepiej serce dziecięce do przyjęcia prawd religijnych.

Nie mówię aby zajmowano młodziebie żeńską wyłącznie muzyką religijną, jej potrzeba pieśni i żywszych i weselszych; ale niech i te zachowają charakter nawniej prostoty i naturalności, jaką np. w tylu pięknych a dla dzieci tak przystępnych utworach Mozarta, w tylu melodych i śpiewkach ludowych u wszystkich narodów napotyamy. Starsze zaś panny niech zasmakują coraz więcej w tak nazwanej klasycznej muzyce, pełnej prawdziwej harmonii i muzycznej melodyi; niech porzucą owę *Wagnerowską* i *Lisztowską* muzykę, polegającą na szumnym malowaniu dźwiękami i na sztucznym stawianiu palców, zamiast przemawiać do serca i podnosić uczucie do wszelkich szlachetnych wzruszeń.

Że i tutaj dobre i gruntowne wychowanie obejść się nie może bez teoretycznych wiadomości, to każdy widzi. Ale czyż nie jest zupełnie na swoim miejscu, żeby panie, tak często wydające sądy o harmonijności lub melodyjności różnych utworów muzycznych, miały jasne i umiejętnie pojęcie o tém, czém jest harmonia a czém melodia, według jakich praw estetycznych i technicznych ułożoną jest najprostsza sztuczka muzyczna? Takie teoretyczne wiadomości przyczynią się z jednej strony do coraz głębszego pojmowania muzyki, a z drugiej mogą być bardzo zajmującym środkiem dla wykształcenia rozumu niewieścigo, środkiem nieraz skuteczniejszym, aniżeli najbogatszy zasób suchej wiedzy.

Malarstwo jest sztuką będącą najmniej w użyciu przy wychowaniu płci żeńskiej; i istotnie też techniczne jego trudności wymagają już nieco dojrzałego umysłu. Pomimo to poszło zanadto w zapomnienie, a dałoby się bardzo dobrze użytkować tak do artystycznego zawodu kobiet, jak i do wielu innych zajęć praktycznych. Prawda że nie wszystkie panie mogą być artystkami, ale wielu utalentowanym należy przypomnieć słowa *Goethego*, tego głębokiego znawcy tak kobiet jak i sztuk pięknych, który powiedział, że właściwa przyczyna dla jakiej nawet najgenialniejszej kobiety dotąd nie wnikły przez powierzchnię sztuki do jej wnętrza, nie leży bynajmniej w ich mniejszym uzdolnieniu, lecz *w braku gruntownych studyów estetycznych, w niechęci stanowczego przezwyciężenia wszelkich technicznych trudności*.

W zwyczajnym wychowaniu malarstwo zastępuje się *rysunkiem* i *robotami ręcznymi*. Bardzo pożądane to a nawet konieczne środki wychowania płci żeńskiej, byle je zastosowywać w sposób właściwy do pedagogicznej praktyki.

Rysunek wdraża przedewszystkiem dziecko do czystości w pracy, do porządku w układzie rzeczy i do akuratności i wierności w działaniu. Są to wielkie zalety estetyczne, które w późniejszym życiu nabywają często i wartości moralnej. Tego ostatniego wpływu rysunku nie należy bynajmniej poczytywać za mało znaczący. Lubo rysunek na pozór niema nic wspólnego z sumiennością i moralnością w praktycznym postępowaniu, to jednak śmiało powiedzieć można, że niejedna zawdzięcza sumiennosc z jaką obowiązki w życiu dopełnia, porządek i akuratność w swoim działaniu, dobrej nauce rysunku jaką za młodu odebrała. A czyżby kobieta mogła w późniejszym życiu zadosyć uczynić najprostszym obowiązkiem swoim, bez owych cnót nauka rysunku zwraca się głównie na wyrobienie tych estetyczno-moralnych cnót w młodym pokoleniu płci żeńskiej; niech przestanie być dodatkiem tylko do innych nauk, przyjemnym zajęciem, służącym conajwięcej do popisu, któremu nie potrzeba poświęcać żadnej większej staranności; lecz przeciwnie, niech zwraca pilną uwagę na to, aby zadosyć uczyniono jego najsubtelniejszym wymaganiom, a zapewne panią z takiej szkoły wyszła, będą miała silne zamiłowanie do porządku, do wyrazistości myśli i uzdolnione będą do odróżnienia i w życiu praktycznym wszelkiego cienia od światła^{1a}

(*) W I-ym tomie *Podróży do Włoch* *Kremera* znaleźć można wiele głębokich i trafnych uwag o muzyce, których pedagogiczne zastosowanie byłoby bardzo zbawiennym.

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Rysował F. Kostrzewski.

Roboty ręczne w końcu stanowią w wychowaniu kobiety najlepszy łącznik między nauką a życiem, między teoretyczną pracą a praktycznym działaniem. Każda robota ręczna jest dla kobiety pracą estetyczną. Ale niechże też istotnie będzie *pracą*, a nie zabawą próżności. Praca z natury swojej zawiera dwa konieczne momenta: nateżenie sił pracującego i istotną praktyczną korzyść, leżącą w dokonaniu dzieła. Gdzie roboty ręczne nie jednoczą w sobie tych dwóch wymagań, gdzie przy nateżeniu nie przynoszą istotnej korzyści praktycznej, tam są jaknajszkodliwsze, bo pozabawiają uczennice owego pięknego, a w życiu tak zbawionego uczucia, wynikającego z przekonania, żeśmy dokonali dzieła dobrego, dzieła przynoszącego innym istotną korzyść. Niema nic bardziej potępienia godnego, nad lekceważenie roboty ręcznej młodego pokolenia kobiet, nad poniżenie takiej do rzędu bądź bezkorzystnego zajęcia, bądź też zajęcia około próżności i przepychu. Kobieta ma, również jak i mężczyzna, przywykać do *pracy*, ma wiedzieć że *praca*, a nie zabawa, jest przeznaczeniem każdego człowieka, każdej istoty posiadającej byt. *Praca*, to podatek, który każdy uiścić winien za samo istnienie swoje. Niechże i kobieta od młodości przywyknie do pracy właściwej jej przeznaczeniu, gdyż tylko o ile *pracuje*, godną jest istnienia i życia.

I na tem też wymaganiu zakończy ten wykład.

Kobieta ma wielką przyszłość przed sobą, większą zapewne, niż jej dotychczasowa przeszłość. Ród ludzki zawsze jeszcze tęskni za idealną doskonałością, zawsze jeszcze walczyć musi z nieprzełamanymi trudnościami o swój byt materialny, a jeszcze więcej o swoją czystość moralną. Walka ta z sobą i ze światem pokrywa go często krwawymi łzami i doprowadza nieraz do rozpacz. Niechże kobieta będzie aniołem pracującym ochotczo około jego podniesienia, niech zatrze z jego czoła pot, niech pokrzepi i pocieszy jego ducha, a doda mu sił do urzeczywistnienia najwyższej doskonałości.

ANTONI OLESZCZYŃSKI.

(Dokończenie).

Rozgłos imienia Oleszczyńskiego sprawił, że z powodu trzechsetletniej pamiątki jubileuszowej Kopernika, jemu powierzono wykonanie wizerunku tego wielkiego męża, którym słusznie zaszczyca się

luzie jest portret, który niegdyś był własnością Raynholda astronoma w Wittembergu. Za pośrednictwem doktora Medyńskiego, otrzymał ową rycinę; woba- wie jednak czy jest autentyczną, scho- wał ją do teki, odkładając pracę na czas dalszy.

Na usilne nalegania Krzyżanowskie- go, wziął się nareszcie artysta z całym poświęceniem do wykonania pamiątki jubileuszowej. Nakreślił wielką kom- pozycją w smaku *renaissance*. W po- środku umieścił wizerunek, według ry- ciny nadesłanej mu niegdyś z Tuluzy poniżej zaś dał wszystkie warianty, pod- którymi wizerunek Kopernika znany jest w różnych krajach.

Sumienny artysta, niepewien sam któryby wizerunek należało pomieścić w środku obrazu, odwołał się do rady Franciszka Arago, sławnego astronoma, a ten rozwiązał wątpliwość, radząc żeby dać portret przedstawiający Ko- pernika starcem, ponieważ pamiątka jubileuszowa ma się odnosić do osta- tniego roku jego życia (1543), w któ- rym dzieła jego wydane zostały. Adryan Krzyżanowski potwierdził zdanie Ara- go, że zaś jeden tylko wizerunek z Tu- luzy przedstawiał Kopernika w późnym wieku, ten przeto zajął na obrazie głów- ne miejsce.

W około tej postaci ugrupował arty- sta wizerunki współczesnych i potom- nych mężów, którzy mieli bądź bez- pośredni, bądź pośredni stosunek z Ko- pernikiem.

W górze geniusz astronomii, w po- staci dziecka, trzyma tablicę z imionami cenniejszych astronomów, od Hypparcha i Ptolomeusza, do Franciszka Arago. Na promieniach tworzących w około głowy jego aureole, wypisane wyrazy *Stella solis*.

Z pomiędzy ugrupowanych w górze figur uderza postać Pawła III papię- za, któremu Kopernik przypisał nie- śmiertelne swe dzieło; kardynała Szemberga, któ- ry usilnie nalegał o jego wydanie; Wojciecha Bru- dzewskiego, mistrza akademii krakowskiej, w cza- sie gdy Kopernik pobiierał w niej nauki; Heweliusza Gdańszczanina i Brzowskiego z Kurzelewa, astron- omów późniejszych. Po bokach wizerunku widzimy postacie Jadwigi i Jagiełły, założycieli akademii krakowskiej, Kazimirza Jagiellończyka, pod którego panowaniem urodził się Kopernik, i Zygmunta Igo, pod którym się wslawił i umarł.

Sumienny artysta w tym bogatym obrazie nagro- madził mnóstwo znakomitych postaci, przemawia- jących do świata o wysokości cywilizacji kraju, który mógł wydać i wychować mężów takiego w nauce

(Ob. dodatek).



Przy wejściu do kościoła.

— Przyszaj jednak, kochana żono, że taka suknia to przesada.
— Wiem że przesada, ale poświęcam to Panu Bogu za moje grzechy.

kraj polski. W r. 1843 Adryan Krzyżanowski, dla uczczenia tej uroczystości, napisał znakomitą bro- szurę, tłumaczoną później na wszystkie języki euro- pejskie. Tenże uczony wezwał następnie artystę naszego do zajęcia się wizerunkiem. Jeszcze w Pe- tersburgu Oleszczyński powziął był myśl wykonania portretu Kopernika. Odkąd przebywał w Paryżu, gro- madził starannie zasoby do tej pracy, którą byłby da- wno rozpoczął, gdyby nie trudność jaką napotkał w od- szukaniu wiarogodnych rysów wielkiego astronoma. Jeździł on z umysłu do Anglii, aby poznać portret znajdujący się w Greenwich; zwiędził następnie Strasburg, dla skopiowania wizerunku z tamecznego zegara astronomicznego; wszystko to jednak nie za- dowolało artysty. Nakoniec dowiedział się że w Tu-

śmiertelne swe dzieło; kardynała Szemberga, któ- ry usilnie nalegał o jego wydanie; Wojciecha Bru- dzewskiego, mistrza akademii krakowskiej, w cza- sie gdy Kopernik pobiierał w niej nauki; Heweliusza Gdańszczanina i Brzowskiego z Kurzelewa, astron- omów późniejszych. Po bokach wizerunku widzimy postacie Jadwigi i Jagiełły, założycieli akademii krakowskiej, Kazimirza Jagiellończyka, pod którego panowaniem urodził się Kopernik, i Zygmunta Igo, pod którym się wslawił i umarł.

Sumienny artysta w tym bogatym obrazie nagro- madził mnóstwo znakomitych postaci, przemawia- jących do świata o wysokości cywilizacji kraju, który mógł wydać i wychować mężów takiego w nauce

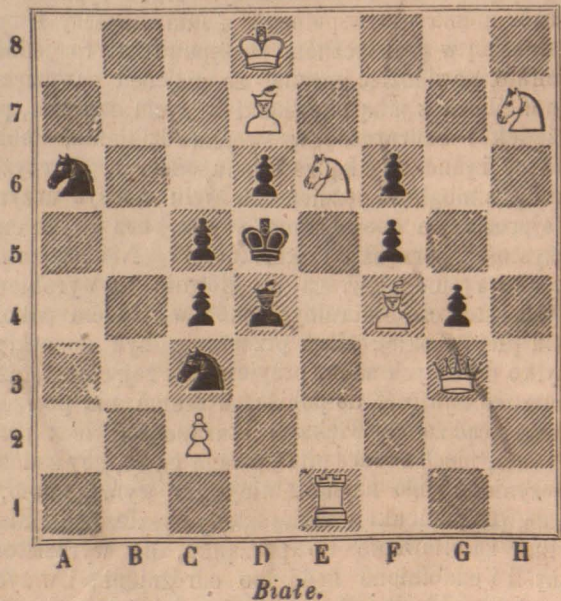
(Ob. dodatek).

Szachy.

ZADANIE CCCLII.

Białe zaczynają i dają matę za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 351.

Białe.

Czarne.

Nr. 1.

- 1) F3 - E3 ++ 1) E4 - D4.
- 2) E3 - E4 ++ 2) D4 - D5.
- 3) E4 - F4 biorą + 3) D3 - F3 ++ i mat.

Nr. 2.

- 3) E4 - D4 ++ 3) D5 - C5.
- 4) D4 - C4 biorą ++ i mat.

Nr. 3.

- 4) A6 - B5 biorą + 4) C4 - B5 biorą.
- 5) B3 - B4 + i mat.

Nr. 4.

- 4) D4 - D5 ++ 4) C5 - C6.
- 5) A6 - B5 biorą + 5) C4 - B5 biorą.
- 6) A4 - B5 biorą + i mat.

Czarne.

Białe.

Nr. 5.

- 1) D3 - E3 + odkryty 1) B3 - C4 biorą.
- 2) B5 - B1 + 2) A2 - C1.
- 3) C7 - C4 biorą + 3) A6 - C4 biorą + i mat.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 395.
Chętnie zle języki biorą na zęby ludzi najlepszych.
(Dodatek).

znaczenia jak Mikołaj Kopernik. Widziemy tu i Staszica, który groszem zbiorowym wystawił mu piękny pomnik w Warszawie, i słynnych astronomów wileńskich: Poczobuta, Śniadeckiego, Strzeckiego i Sławińskiego; widzimy Elżbietę z Ogińskich Puzynię, kasztelanową mściłowską, która przeznaczyła znaczne sumy na zakup narzędzi astronomicznych i utrzymanie uniwersytetu wileńskiego. Oprócz zalet historycznych, niebrak też i twórczej fantazyi w owym pięknym obrazie. Dowodem jęj postać mistrza Twardowskiego, który smutno duma o losach astrologii, przewidując rychły jęj upadek. Tuż obok dziecko w klucz świszczące, oznacza dziecinne pojęcia tego wieku o systemacie Kopernika, gdy go na publicznych widowiskach wyśmiewano.

U spodu grupy spostrzegamy upokorzoną postać owego Holendra, który wydał w Amsterdamie cały tom pochwał o Koperniku, lecz obok tych pochwał szczydzi z dawnęj Polski, zowiąc ją ziemią gburów, zimna i ciemnoty. W odpowiedzi na to, artysta otoczył całą kartę imionami znakomitych w Polsce mężów, współczesnych Kopernikowi.

Wykonawszy to piękne dzieło, Oleszczyński posłał kilka egzemplarzy do Krakowa, w darze dla życzliwych mu osób: Dzieduszyckiego, Ambrożego Grabowskiego i księcia Eustachego Sanguski. Towarzystwo sztuk pięknych oceniło ten utwór i zażądało od autora 2000 egzemplarzy na premium dla swoich członków.

W Warszawie inny los spotkał owo mistrzowskie dzieło. Krytycy, szukając w niem tylko portretu, wyrzekli nieprzychylnie zdanie. Mickiewicz uwiadomił o tém artyście, pocieszając go przypomnieniem, że i on sam podobnego niegdyś doznał przyjęcia. „Z czasem, dodał, wynagrodzą ci tę bezwzględna niesprawiedliwość, teraz zaś poprzestań na naszym i obcych szacunku.“

Fundusz ze sprzedaży tego obrazu, posłużył naszemu artyście do wykonania innego, równie znakomitego dzieła: mówimy tu o wizerunku Jana Zamojskiego.

Równie jak utwór poprzedni, tak i ten nazwać można śmiało rytowanym poematem. Artysta na jednej karcie streścił świetną epokę Zygmunatów i Batoro, której wielki kanclerz Zamojski był jakby wyrazem najwyższym.

W pośrodku widziemy popiersie wielkiego męża, powtórzone niegdyś w Warszawie, z autentycznego portretu w bibliotece ordynackiej. Powyżej dwa geniusze utrzymują tarczę. Po rogach zamieścił artysta postacie czterech sławnych mężów, którzy w rycerskim zawodzie zasłużyli się w owych czasach.

Na wstędze otaczającej wizerunek wielkiego kanclerza, wyrzył artysta nazwiska jego nauczycieli; na węzłach tytuły ksiąg przez niego napisanych. Tło wizerunku zapełnił licznymi imionami współczesnych mężów, którym złota epoka Zygmunowska zawdzięcza swoje chlubną nazwę.

Dwie powyżej określone ryciny: pamiątka jubileuszowa Kopernika i wizerunek Jana Zamojskiego, stanowią rzecz można koronę prac naszego zasłużonego artysty. Zbiór pomniejszych jego utworów, składających Rozmaitości, wzrastając z każdym rokiem, dziś już obejmuje do stu rycin. Prawdziwą ozdobą tego zbioru jest portret Andrzeja Zamojskiego i wizerunek pośmiertny Mickiewicza.

Zasługują także na uwagę ryciny Oleszczyńskiego zamieszczone w Album wileńskim, przedstawiające: widok Kowna, Najświętszą Pannę ostrobramską z widokiem na miasto Wilno, wjazd do Rzymu Radziwiłła posła Jana IIIgo, oraz kopie z obrazów Smuglewicza, Czechowicza i Leksyckiego.

Pracując nad Zamojskim, artysta nasz powziął myśl do innego obrazu, takichże rozmiarów i znaczenia: postanowił przedstawić Stanisława Potockiego (Rewerę), otoczonego grupami zasłużonych w kraju Piławitów. W tym celu zebrał z kronik i pamiętników historycznych chlubne szczegóły o Potockich. Plan obrazu, nakreślony po mistrzowsku, widzieliśmy w tece artysty, lecz brak zasobów i pomocy, pozbawia dotąd ogół tak znakomitego dzieła.

Oprócz tylu prac rytowniczych, Antoni Oleszczyński znalazł jeszcze czas do pracy i na polu piśmiennictwa. Dzieło jego pod tytułem *Wspomnienia*, pełne ważnych a ciekawych szczegółów historycznych, godnie odpowiada tekstem wartości swęj artystycznej. Oprócz tego autor posiada w rękopiśmie

kilka wykończonych dzieł, które tu szczegółowo wylizujemy.

Będąc jeszcze w Petersburgu, rozpoczął pismo pod tytułem „Rzut oka na sztuki i pomniki polskie“. Ramy tego dzieła obejmują cały przeciąg lat od ery przedchrześcijańskiej, aż do naszych czasów. Autor nie spieszył z wydaniem tęj sumiennej pracy, lecz przez długie lata dopełniał ją skrzętnie, w miarę przybywających mu wiadomości. Pisał także kurs anatomii artystycznej i perspektywy.

Obznajmiony wybornie z kronikami polskimi, skreślił także obszerną powieść historyczną, pod tytułem: „Pamiętnik przybylców“. Do napisania tęj powieści stała mu się pobudką ciekawa okoliczność. W rodzinie Oleszczyńskich przechowywano od kilku pokoleń starą księgę rodową, w rodzaju silva rerum, przechodzącą spadkiem z ojca na syna, a którą wszyscy niemal członkowie rodu z kolei dopełniali. Tę księgę znał od dziecinnych lat Antoni, i w niej, będąc młodzieńcem, tak pilnie się rozczytywał, że ją całą umiał prawie na pamięć. Otóż po śmierci ojca zginęła owa szacowna księga. Antoni Oleszczyński postanowił odtworzyć ją z pamięci, z dodaniem wielu ważnych historycznych szczegółów, obrobionych artystycznie, z zastosowaniem do czasu i do miejsca.

Protoplasta Oleszczyńskich, Tatar z rodu, osiadł w Polsce w początkach wieku XV, wraz z wielu innymi rodzinami tatarskimi; ztąd zwano go przybylcem. Od niego to rozpoczyna autor ów ciekawy pamiętnik, który doprowadził do XVII wieku. Przybylcowie, przyjmawszy wiarę i obyczaje polskie, służyli na dworach królów, którzy w nagrodę położonych zasług nadali im herb i policzyli ich do grona synów własnych. Autor zamierzył dociągnąć ten pamiętnik rodowy aż do ostatnich czasów i połączyć go z własnym pamiętnikiem, który od lat kilkunastu pisze wytrwale, chcąc w nim zostawić drogą pamiątkę dzieciom.

Pamiętnik własnego życia rozpoczął autor w r. 1848. Przyjęty do grona francuzkich obywateli, musiał ze szkoda prac artystycznych odbywać warty jako gwardzista narodowy. Co tydzień więc powoływany był na całodzienną służbę, a że właściwa warta zabierała tylko dwie godziny czasu, pozostałe więc dwadzieścia dwie godzin poświęcał na spisywanie z pamięci własnych wspomnień. Tym sposobem powstał ciekawy pamiętnik, prowadzony odtąd z wytrwałością. Córka naszego artysty powierzyła mi do przejrzania to drogocenne pismo, które dostarczyło wątku do niniejszego zyciorysu.

W pamiętniku tym znajdujemy obraz życia zanego ojca artysty, Jakuba Oleszczyńskiego, skreślony ze czcią synowską. Autor opowiada w nim z kolei wypadki z lat swoich dziecinnych, domowe i szkolne wychowanie, pierwsze kroki w zawodzie publicznym i artystycznym, opisuje akademickie nauki w Petersburgu, podróż do Francji przez Niemcy i Holandją, a nakoniec czterdziestoletni pobyt w Paryżu.

Z niezmaconym pokojem ducha kręśli on doznane w życiu zawody, nieodłączne od powołania artysty. Oddany wyłącznie pracom rytowniczym i literackim, nie mając czasu mieszać się w spory i polemiki, wydaje nadzwyczaj trafny sąd o ludziach i wypadkach swego czasu, wolny od namiętnych uprzedzeń i stronniczego poglądu. Znajdujemy tu również ciekawy opis przejażdżki odbytej przed kilku laty do nadreńskich Niemiec i Szwajcaryi, w ciągu której artysta, zwiędzając muzea i biblioteki, znalazł niejedną ważną pomnik, odnoszący się do przeszłości naszej i niejednym szacownym zabytkiem zubożcił archeologiczne zbiory swoje.

Na zakończenie zyciorysu zasłużonego artysty, dodajemy z prawdziwą pociechą, że Oleszczyński, mimo sędziwych lat (rodził się bowiem w r. 1794) używa jaknajlepszego zdrowia. Zachował dotąd umysł świeży i czynny, wyborną pamięć, wyobraźnię prawdziwie młodzieńczą i wzrok tak doskonały, że najdelikatniejsze prace rytownicze wykonywa bez żadnej trudności. Zamiłowany od młodości w muzyce, szuka w niej rozrywki po pracy, i nieraz w kółku rodziny i przyjaciół, przygrywając na gitarze, śpiewa im dawne dumki, głosem świeżym i pełnym wdzięku.

Pomnażanie pięknych jego archeologicznych zbiorów, zawartych w albumie córki Jadwigi, stanowi też najmilszą rozrywkę artysty naszego. Zbiory te zawię-

ają w sobie niezliczoną ilość rycin, autografów, facsimiliów i przerysów. Uważając słusznie, że nazwa *albumu* ubliżałaby owym zbiorom, tak samo jak nazwa *mości pana jasnie wielmożnemu*, przeważa je: *Archiwami pamiątek artystycznych, literackich i historycznych*.

Patrząc na ten wewnętrzny pokój artysty, niezmacony żadną zewnętrzną burzą, widziemy w nim piękny owoc, jakim Bóg zwykle nagradza żywot pracowity i cnotliwy, żywot prawdziwie chrześcijański.

Severyna D.

LISTY Z WYSTAWY PARYZKIEJ.

II.

Paryż, 18 kwietnia 1867.

Dotknawszy w pierwszym liście w ogólnych zarysach wystawy obecnej, powinienem i pragnę być dziś więcej szczegółowym; wątpię jednak czy z obowiązku tego ku waszemu i memu zadowoleniu wywiązać się potrafię.

Pomimo upływu dwóch przeszło tygodni od chwili otwarcia wystawy, pomimo niezmondowanych usiłowań komisji cesarsko-francuzkiej i komitetów państw szczegółowych, wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, a przybywanie z każdą godziną nowych przedmiotów, przestawianie i porządkowanie dawniejszych, utrudnia tębardziej położenie widza i zadanie sprawozdawcy. Trzy zaledwie działy: rosyjski, szwedzki i duński, za zupełne uważać już można. Wprawdzie angielski i francuzki, chociaż niedokładne, chociaż świecące w wielu miejscach próżniami, zadziwiają jednak swym ogromem i przepychem; ale za to s. p. Związek niemiecki, Prusy i Włochy postępują opieszale. Tylko utwory sztuk pięknych, fotogramy i maszyny w należytem są wszędzie prawie ugrupowaniu.

Poczet wystawców naszych, skromny i nieliczny, świadczy o dobrych chęciach i gorliwych usiłowaniach ku podtrzymaniu przemysłu krajowego, a nawet powiem więcej, że niektóre wyroby i produkta zwróciły na siebie uwagę *biegłych*, od tygodnia już odbywających szczegółowe i nadzwyczaj sumienne przeglądy kwalifikacyjno-nagrodowe. Jeżeli na której, to na tegorocznej wystawie otrzymana nagroda lub pochwalna wzmianka, stanowić będzie istotny zaszczyt i dla wystawcy i dla całego kraju. Jakiękolwiek tylko dotknąć gałęzi przemysłu, o jakimkolwiek rodzaju produkcji zamarzyć można, wszystko, i to w najdoskonalszych okazach, jest tu nagromadzone. Na czém zbywa Europie, dostarczyła Azja, o czém przepomniała Francja, z tęp występowała Anglia, gdzie się opóźnia świat stary, tam pospiesza nowy. Wszystkiemu jednak bezspornie przoduje Francja; gdzie ona się ukazuje, tam widać doskonałość materyału, sumiennosc wykończenia, wyborowy smak, zastosowanie sztuki i piękna do przedmiotów najprostszych i codziennego użytku. Ale niedość na tęp: wystawcy francuzcy pojęli całą doniosłość zadania jakie każdej produkcji przewodniczyć winno: podawania ku powszechnemu użyciu *ogółu* konsumentów przedmiotów tanich i o ile można wykończonych. To tylko i to jedno zapewnia przemysłowcom i fabrykantom stopniowy wzrost przedsiębiorstwa, otwierając im najszersze pole zbytu, to jedno niesie w najniższe warstwy społeczeństwa dobrobyt i zamiłowanie porządku, oszczędności i pracy.

Do jakich rezultatów pod względem taniości niektórych artykułów przyszła dziś Francja, że pominę nateraz inne narody, przekonać mogą następujące cyfry, z obecnej wystawy zebrane. Widziemy tu koszule kartonowe (bawełniane), niezbyt grube po 1 fr. 65 cent. (41 1/4 kop.) sztuka, bluzy stanowiące zwykłą odzież zwierzchnią wyrobioną po takiej samej cenie, spodnie sukienne po 1 fr. 60 cent. para, trzewiki skórzane od 34—39 fr. tuzin, kapelusze pilśniowe po 4 fr., kapelusze słomiane tuzin za 1 fr. 10 cent., wreszcie tużurki bardzo porządne, z jedwabną podszewką, po 24 fr. sztuka. Najuboższa matka może tu zapewnić dziecięciu środki koniecznej wygody i niezbędnej dla zdrowia czystości. Widziałem na wystawie wyprawki dla nowonarodzonych, składające się z garniowanego czépeczka, dwóch sukienek, trzech koszulek perkalowych, z 6ciu

pieluszek i dwóch powłoczek, wszystko razem za 6 fr. 50 c. (rs. 1 kop. 67 i pół). Gdy później dziecina dorosnie, matka włoży mu na główkę bardzo udatną czapczkę ceratową, których tuzin kosztuje w fabryce 5 fr., obuje go w jednofrankowe buciki, a resztę ubrania, i to nawet z pewną elegancją odrobionego, kupi mu za 12 franków. Wszystko to mieści się w klasie 91 przedmiotów francuzkich, wprowadzającej w osłupienie ceną więcej niż przystępną. Nie przepomniano tu nawet o zabawkach dziecinnych; są baranki, koniki, pieski bajecznie tanie, np. 144 sztuk piesków za 7 franków. Prawda że kształty zwierzątek bywają cokolwiek fantastyczne, ale cóż to obchodzi młode pokolenie, skoro naciśnięty psiak wyje, konik rży, a baranek beczy?

Postęp i udoskonalenie w budowie maszyny, cudojne zastosowanie mechaniki, a nadewszystko umiejętne zużycie najdrobniejszych odpadków, poczytywanych dotąd za rzeczy żadnej wartości, spowodowały tę tanią, a co ważniejsza, przysporzyły środków służących ku zaspokojeniu potrzeb ludzi na najniższym stopniu społecznym postawionych.

Na czele tych materiałów nowo wynalezionych, a dziś olbrzymie i najszlachetniejsze mających zastosowanie, postawić musimy *wielką sztuczną*. Z wyporków, odpadków, skrawków, gałganów, zawierających w sobie cząstki wełny, umyślnie w tym celu pozakładane fabryki przygotowują nową tkaninę, która w najróżnorodniejszej barwie, cienkości i kształcie podawana jest na użytek publiczny. By mieć jakie takie wyobrażenie o masie wyrobów tego rodzaju, dość powiedzieć że sama tylko Anglia dostarcza ich rocznie za milion funtów szterlingów.

Zarzuci kto może, że podawane przezemnie ceny należą do kategorii *wystawowych*, że fabrykant kładzie je tak nisko jedynie dla zwrócenia tym sposobem uwagi na swe wyroby. Bynajmniej. Widziałem w sklepach paryzkich lekkie korty na zupełnie ubranie męskie za 12 franków sztuczka, a znany magazyn nowości „*au Louvre*” sprzedaje tysiącami sztuk przezroczone musli, najgustowniej ubarwione, po 9 fr. 50 cent. za sztukę wystarczającą na suknie i okrycie damskie. Naturalnie że od wyrobów podobnego rodzaju nie można wymagać żelaznej trwałości, że niszczą się, zużywają i płowieją szybciej niż droższe, a tęp samem doskonalsze; ale zastanowić się wypada że biedny wyrobnik lub rzemieślnik nie nosi ich codziennie, że to są jego świąteczne szaty, że chucha na nie i dmucha, by jak najdłużej cieszyć się niemi.

Rozpisałem się cokolwiek szerzej nad tym jednym tylko działem wystawy francuzkiej, powszechne wzbudzającym podziwienie, a rozpisałem się raz dlatego, byście mnie uważali za zupełnie wytłumaczonego, jeśli mówiąc o naszych wyrobach, unikać będę wszelkich porównań, a potem by sprostować niektóre błędne wiadomości, jakie wam o wystawie przez pseudo-korespondentów mogą być podawane. Niedawniej jak dziś czytałem w jednym z pism warszawskich następującą wiadomość: „O wystawie niema co mówić, gdyż po otwarciu zamkniętą została do 1go maja.” i dalej w téjże samej korespondencji, że Francuzi gniewają się, ponieważ wystawa ich gorszą jest od innych. W obu tych wiadomościach niema ani cienia prawdy. Otwarta 1 kwietnia wystawa, wzrasta, postępuje i uzupełnia się codziennie, ku wielkiej sławie i zaszczytowi przemysłu francuzkiego, nieprześcigniętego przez nikogo i na żadnym punkcie. Może tylko maszyny angielskie, o których w poprzednim liście pobieżnie wspominałem, potężniejsze są od francuzkich i różnorodniejsze, ale i pod tym względem podzielone są zdania znawców. Przedmioty pochodzące z królestwa rozmieszczone tu zostały nader korzystnie w kilku obszernych salonach, przeznaczonych na wystawę cesarstwa.

Jak już wspominałem, nad wnijsiłem do oddziału sztuk pięknych mieści się „Opłakane apostołstwo” Gersona. W pierwszej zaraz sali, po lewej stronie, dwa obrazy Simmlera: Przysięga Jadwigi i portret pani M. z R. W., a na przytykającej ścianie Zygmunt August przy zwłokach Barbary. Ten ostatni mianowicie licznych sprowadza widzów i jednomyślnie zyskuje pochwały. Na stronie przeciwległej dwie akwarele Kossaka; Targ na konie, o ile uważałem w ciągu kilkakrotnych odwiedzin, wabi do siebie ciekawych. Przykro nam tylko żeśmy się nie

spotkali z żadnym dziełem Kostrzewskiego (1). Utalentowany i samodzielny artysta jak Kostrzewski, przedstawiały tu rodzajowe nasze malarstwo, którego brak jest widoczny. Sceny swojskie, wiejskie dramaty i komiczne wypadki przy powrocie z miasteczkowych jarmarków, tak udatnie przez niego traktowane, nicby nie straciły na swęj wartości w obec innych, przeciwnie zyskałyby, gdyż sądząc z porównania pamięciowego prac Kostrzewskiego z tego rodzaju utworami cudzoziemskich malarzy, należy on bez zaprzeczenia do najzdolniejszych i najoryginalniejszych artystów. Nie jest to bynajmniej wyłączone moje mniemanie, ale zdanie głębokiego znawcy, z którym przed kilkoma dniami zwiędzałem wystawę.

W wązkiem przejściu oddzielającym sztuki piękne od przemysłu, umieszczone są fotogramy Klocha i Dutkiewicza, Fajansa, oraz Mieczkowskiego. Na tém polu Warszawie bezspornie należy się palma pierwszeństwa. Nasze produkta fotograficzne wyższe są pod każdym względem od francuzkich, a tęp bardziej od angielskich i walczyć mogą o lepsze z słynnemi fotogramami Angerera w Wiedniu. Włoskie są słabe i zagwazdane. Portretów takich jak p. M. (Kloch i Dutkiewicz), wnetrz jak np. salon hr. Ur., widoków takich jak pałacu łazienkowskiego, w żadnej innej dotąd wystawie napotkać nie można. Najwyżej jednak, zdaniem znawców, stoją portrety Mieczkowskiego, dlatego głównie, że prawie wcale nie są retuszowane, chociaż portrety Klocha i Dutkiewicza lepiej może wpadają w oko. Uprzedzam o tém czytelników naszych, którzyby rysy swe uniemiętelnić pragnęli i ważne to zadanie odkładali na czas podróży do Niemiec lub Francji. W dziale fotograficznym biegli nie rozpoczęli jeszcze czynności, ale wątpić nie można że Warszawa wyjdzie zwycięzko. Portrety fotograficzne koloryzowane przez Zarzyckiego, są nieporównanie piękne; podobnych stanowczo nigdzie nie widać.

Litografia i chromolitografia przedstawioną jest przez Walkiewicza i Fajansa. Odbicia są nader czyste, dokładne i wyraźne, mianowicie tęp chromolitografia ołtarza i obrazu Najświętszej Panny częstochowskiej (Fajansa).

Przechodząc następnie od sztuk pięknych do właściwego przemysłu, powtórzę wam zdanie biegłych, że wyprawa skór warszawskich jest doskonałą, ustępując jedynie szwajcarskiej. Okazy Szwedego, Liedkiego i Temlera należą do najlepszych na całej wystawie; niedziw więc że posiadając taki materiał, Hesse nadesłał uprząż węgierską na parę koni, bardzo gustowną, jaskrawą, a przytęp doskonale odszytą i jaknajstaranniej wykończoną. Ale zarazem zadaję sobie pytanie, dlaczego niema na wystawie obuwi warszawskiego? Przy tak doskonałym jak nasz materiale, można było wystąpić z częms wyborowem, tęp bardziej że obuwi warszawskie wielkiej niegdyś używało wziętości.

Wzmianka o obuwiu przenosi mnie naturalnie do klasy przedmiotów mieszczącej odzież. O tym dziale wystawy naszej mało powiedzieć można. Frako-tuzurek Juszczyka i kilka gorsetów, oto wszystko na co zdobyła się Warszawa, ale mówiąc między nami, i tego zawiele. Skomplikowany wyrób p. Juszczyka, mógłby mieć wartość względną, jako okaz sukna krajowego, lecz jako dzieło krawieckiego kunsztu, niczém się nie zaleca. Co innego gorsety, te przynajmniej są dowodem złego smaku i cen bajecznych. Na jednym z nich, upstrzonym motylkami błakającymi się po szarej jakiejś materii, widzieliśmy cenę 300 franków, na innym zdaje mi się 400. Szkoda czasu i atlasu. Więcej daleko zajmowałyby widzów kapota wieśniacza, burka sławucka, lub gunia góralska, bo te mają cechę właściwej oryginalności, a jako wyroby z materiału miejscowego, swojskiego, dawałyby pojęcie o tęp gałęzi przemysłu, gdy przeciwnie fraki, gorsety i kapelusze są ciemną niestety jego stroną.

Fortepiany Kralla i Sejdlera, oraz Małeckiego i Szredera jaknajpochelebniejszego doznały od biegłych przyjęcia. Byłem na próbie: każdy instrument szczegółowo rozebrano, rozsrubowano, wyjęto klawiaturę, próbowano strun, oglądano młoteczki, słowem najmniejszy drobiazg nie uniknął bacności przysięgłych. Zgodzono się jednomyślnie, że pod

(1) O ile wiemy, brak ten nie wynika z winy artysty, lecz spowodowany został zbiegiem okoliczności. (Przyp. red.)

względem dokładności budowy, siły i dźwięku, zasługują na wielkie pochwały.

Jaki będzie w ogóle wynik opinii biegłych co do naszych przedmiotów, przewidzieć trudno. Należy zwrócić uwagę na tę okoliczność, że wszystko jest tu nagromadzone w tak kolosalnych ilościach, w tak wyborowych okazach (samych fortepianów około 200 dotąd rozpakowano), iż tylko najcelniejsze, pierwszorzędne wyroby z próby zwycięzko wyjść mogą; sumienne jednak badanie, jakiemu każdy przedmiot jest poddawany, daje wszelką rękojmię sprawiedliwego ocenienia.

* * *

W jednej z następnych korespondencyj wspomnę o innych naszych przedmiotach, obecną zaś zakończę kilkoma uwagami dla tych z czytelników naszych, którzyby zamierzali przybyć do Paryża na wystawę.

Przedewszystkiem wystawa sama godną jest ze wszech miar widzenia. Sądząc z tego co jest, można brać miarę o tęp co będzie; jest zachwycające, będzie wspaniałe, kto więc ma środki po temu, zwiędzić ją powinien. Pobyt tylko w Paryżu w obecnych warunkach cokolwiek uciążliwy. Ceny mieszkań niesłychanie idą w górę, hotelnicy drą bez litości i upamiętania, o lokalu zaś w punkcie środkowym miasta marzyć nawet trudno. Pokoik na 4-ém piętrze w jednym z hotelów na ulicy de la Paix, lub na wielkich bulwarach (Italiens, Capucines) kosztuje dziś już 10 franków na dobę. Nie wiemy co będzie jutro; należy więc zapewnić sobie mieszkanie przez korespondencją, a lepiej zapłacić lokal za jeden lub dwa dni spóźnionego przyjazdu, aniżeli być narażonym na kosztowne i przykre błakanie się od hotelu do hotelu. Doskonale urządzone bieg omnibusów krążących po całym mieście od rana do północy w najrozmaitszych kierunkach, tysiące dorożek (za godzinę jazdy 1 fr. 75 c., oraz 10 c. dla dorożkarza), statki parowe kursujące bezustanku środkiem miasta aż do gmachu wystawy, wszystko to niezmiernie ułatwia komunikacją i umożliwia pomieszczenie się w odleglejszym nawet cyrkule. Śniadania, obiadów i wszelkiego jedzenia w hotelu strzedz się należy jak ognia; są to fantazyje, jakich tylko bardzo majetni pozwalają sobie mogą. Przyjechawszy do Paryża, należy przyjąć paryzkie zwyczaje i tryb życia zastosować do ogółu; tym tylko sposobem uniknie się bezpotrzebnych wydatków, gdyż wszelkie cudzoziemskie zachcianki złotem opłacać trzeba, a jak mówiła jedna z naszych rodaczek, w Paryżu: *frank po franku leci jak woda*.

Kto mówi po francuzku, obejdzie się najdoskonalej bez przewodnika, kto zaś nie mówi, temu przewodnik na wiele się nie przyda. Najlepszymi przewodnikami są sergents de ville, a tych pełno na każdej ulicy; oni wskażą kierunek drogi, stacyą omnibusową, słowem wszelkich udzielą objaśnień. Po nich idą jako informatorowie dorożkarze i konduktorzy omnibusów; wreszcie wszyscy mniej więcej mieszkańcy, przechodnie, kupcy grzeczni są i uprzejmi, byle tylko z grzecznością pytani byli. W końcu raz jeszcze powtarzam, że kwestya lokalu jest najważniejsza i na tęp głównie uwaga przyjeżdżającego, a raczej wybierającego się w podróż zwróconą być winna.

Michał Szymanowski.

ŻYCIE ZA ŻYCIE.

Powieść

Walery Morzkowski.

(Dalszy ciąg.)

Stryj umiał dziwny wpływ wywierać; lęcano go się i słuchano nieobecnego, szanowano przywidzenia i kaprysy; obudzał sympatyą i trwogę zarazem, nawet w niższych naturach. Istniał w nim jakiś sympatyczny pierwiastek, którego nic zniweczyć nie mogło. Znać było jakiej siły być musiała kiedyś ta struna serca, dziś zerwana, sfałszowana; znać było jak człowiek ten kochanym być musiał.

Stosunki nasze, choć częste, nie stały się z czasem ni ściślejsze, ni poufalsze. Ileż wieczorów i nocy strawiliśmy jednakim sposobem: jam siedział przy fortepianie i śpiewał, on chodził po pokoju zasła-

nym dywanem, równym, mierzonym krokiem, ze spuszczonej głową, z błyszczącym okiem, ze zwieszonymi rękami, zapominając nieledwie obecności mojej, a w tym jego ciągłym, jednostajnym ruchu, było coś przypominającego ruch lwa zamkniętego w klatce.

Tak dnia jednego byliśmy razem. Skończyłem właśnie ulubioną aryę z Semiramidy; stryj nie zważał na mnie, zasłuchany czy zamyślony. Uderzyłem bezmyślnie kilka akordów. On drgnął, podniósł nagle głowę i spojrzał na mnie bystro.

— Co ty grasz? rzekł cicho ale gwałtownie, kładąc rękę na moim ramieniu.

Mimowolnie ugiąłem się pod naciskiem tej dłoni i przypomniałem sobie portret jego. Stryj mój dnia tego był niezwykle drażliwy. Oczy jego płonęły złotym blaskiem, na bladą twarz przechodziły płomienne kolory, jakby fale krwi czy wspomnień.

— Co ty grasz? powtórzył.

— Nie wiem sam, odrzekłem, podnosząc na niego oczy, znać wymowne miłością trwożną, bo odwrócił wzrok niechętny i mówił ciszej, niby sam do siebie:

— Dlaczego ty jeden wkradłeś się do domu mego, dlaczego tobie jednemu pozwoliłem zajrzeć do mego pustelniczego życia? Czy zmieniły się pojęcia moje? czy tylko wiek zmiękczył wolę? Czy mnie dzisiaj, jak kiedyś za młodu, znowu potrzeba ludzi, jak dziecięciu starcowi nowości? mnie, com lat tyle przeżył spokojnie, samotnie!

Mówił to cicho, wyraźnie, jakby dotknięty tajemnym przecuciem. Miał słusność, rzeczywiście coś w nim mieniło się, miękło, topniało; czułem to patrząc w twarz jego, i nie wiem czy przez moc nawyknięcia, czy z innej przyczyny, wydała mi się ona dzisiaj mniej przykrą, mniej rozstrojoną.

Mimowolnie prawie wyciągnąłem rękę i dłoń jego objąłem w moich, i cisnąłem ją z ciepłem serdecznego uczucia; ale on wy dobył ją z mego uścisku, jakby otrząsając się z miększych wrażeń, i rzekł poważnie:

— Śpiew twój zdobył mnie podstępnie. To nie napróżno pierś ludzka odezwała się pod moją bramą głosem i pieśnią którą lubiłem; nie napróżno uczyniłem wyjątek dla ciebie. Ty zrobisz mi wiele złego, Maryanie.

— Nigdy! zawołałem.

Uśmiechnął się przykrym uśmiechem, który nie rozjaśnił oczów jego, nie odbił się na twarzy, tylko bardziej jeszcze wykrzywił mu usta. Nie powiedział nic, ale uśmiech ten był aż nadto wymownym; tym uśmiechem zdawał się urągać jeszcze losowi co go zwyciężał.

Oddalił się i znowu rozpoczął nieskończoną przechadzkę w około ścian pokoju. Ogień przygaszał na kominie, szelest kroków jego tłumiał miękki dywan, a on snuł się w półmroku nocnym, ginał mi w oczach i wynurzał się z cienia, jak duch, jak widmo pokutujące.

Drżącą ręką wybierałem bezmyślnie jakieś akorda, i tym razem stryj nie przerywał mi wcale, może i nie słyszał, zatopiony sam w sobie. Rozdzieliliśmy się duchem. Gdzie były myśli jego? któż mógł odgadnąć. Ale moje poczęły ulatać w jakąś przeszłość zapadłą, w mgłę niepewności. Dźwięki na które trafiłem przypadkowo, budziły we mnie zamierzchłe wspomnienia pierwszych lat dziecięcych; wygrywałem jak przez sen jakieś piosnki, które mi usypiała mnie stara piastunka; dźwięki budziły wspomnienia, wspomnienia dopełniały dźwięków. Pograżyłem się w zadumie dziwnej, a wśród niej brzmiała mi w myśli jakaś melodia niewyraźna, powiązana ze słowami obcego języka, którą słyszałem gdzieś, kiedyś, przed laty. Widziałem jak przez sen jakąś cudownie piękną, bladą kobietę, która śpiewała mi ją raz, tuląc mnie do piersi swojej, a idąc za tym snem, przywidzeniem czy wspomnieniem, zacząłem śpiewać pieśń, której dziwaczne słowa powróciły mi na usta z niepojętą dokładnością:

Non chiamar mi tua vita,
Non chiamar mi tuo cor.
La vita passa, scorda il core,
L'anima sola mai non muore
E soffre per l'eternita.

Śpiewałem niby senny tę pieśń, której nigdy nie śpiewałem wprzódy, jak gdyby złośliwa potęga wró-

ciła mi ją do pamięci i przyniosła na usta. Nagle opanowało mnie jakieś nieokreślone uczucie niepokoju. Podniosłem głowę spuszczonej: tuż przy mnie stał stryj mój, oczy jego wlepione były we mnie z dzikim nieledwie wyrazem. Płomień buchnął w tej chwili i oświecił mi jego postać, jego twarz wykrzywioną konwulsyjnie, i te źrenice okrągłe, ogniste, w których po raz pierwszy wyczytałem wyraz tak strasznej rozpacz, że przerażony urwałem w pół akordu, głos zamarł mi na ustach i pozostałem niemy jak winowajca, czując że mimowolnie spełniłem prawdziwą zbrodnię, zakłóciłem spokój zdobyty Bóg wie jakim kosztem, przywołałem do życia to, co zamarło z bólu, i ostatnią kroplę gorzycy dorzuciłem temu, co już przenieść jej nie mógł.

Rzeczywiście stryj mój, blady trupią nieledwie bladością, stał wsparty o krawędź stolika, a z ust jego zaciśniętych wyszły tylko te słowa:

— Spełniłeś i ty posłannictwo swoje, Maryanie.

W tej chwili stolik na którym oparł się całym ciężarem, rozpekł się na dwoje, a skrzypce, które leżały na nim, spadły i zajęczały rozpacznie, jakby jękiem konania. Stryj spojrzał na nie, na sprzęty rozrzucone, to znowu na mnie; sine cienie wychodziły mu na twarz i znikaly, oczy jego się ćmiły, jakby wzrok oderwany od obecnej chwili zwracał się gdzieś w głąb myśli własnej i tam szukał wspomnień zamierzchłych. Usta białe poruszały się machinalnie, ale wyrazy zamięrały na nich nieodmówione.

— Stryju! zawołałem w końcu przerażony.

On spojrzał na mnie szklisko, postąpił parę kroków, zatoczył się i padł przy drzwiach.

Chciałem go podnieść, ale ciało jego sztywniejące miało ciężkość trupa.

Zacząłem dzwonić z całej siły, bo czułem coś nakształt tego, co czuć musi zabójca przy ofierze swojej; ogarniał mnie strach, groza niepojęta. Po chwili ukazał się Michał, przerażony gwałtownym wezwaniem. Ujrawszy pana swego, w milczeniu załamał ręce.

— Czy on zapadał tak kiedy? pytałem niespokojny, podnosząc z jego pomocą bezwładne ciało i składając je ostrożnie na sofie.

— Dawniej, kiedyś, odparł stary, rozwiązując panu chustkę na szyi i przykładając rękę do piersi, podnoszonej nierównym falowaniem serca. Ostatni atak zdarzył się nie wiem już wiele lat temu, po śmierci siostry.

I umilkł, wlepiając oczy w pana swojego.

— Więc cóż robić teraz? pytałem.

Te słowa wróciły mi przytomność umysłu. Pobiegł po trzeźwiące octy i krople jakieś chciał wlać w zaciśnięte konwulsyjnie usta chorego. Ale to wszystko nie przywracało go do życia.

— Trzeba posłać po doktora, wyrzekłem.

— Po doktora? powtórzył Michał zdumiony, po doktora? Pan mój nie pozwoliłby na to nigdy.

— Więc ja to biorę na siebie, zawołałem.

I zbiegłszy na dół, posłałem konie swoje do najbliższego miasta, a sam powróciłem do stryja, coraz bardziej trwożny. Poznałem że to był atak sercowej choroby, rozwiniętej oddawna, a może koniec dramatu rozgrywanego się w głębi tego serca.

Na palcach wszedłem do pokoju jego, ukląknąłem przy nim i tchem własnym począłem rozgrzewać ręce jego i pulsa, z których uciekało życie.

Czas upływał; czekałem na lekarza jak na zbawcę. Nie przybywał. W końcu chory odetchnął silniej, chwytając powietrze piersią ściśniętą, otworzył oczy przymglone, wzrok jego przytomniejszy spoczął na mnie, ale usta milczały. Długo bardzo wpatrywał się we mnie z nieokreślonym wyrazem żalu, a jednak dziwna zmiana zalegała rysy, cierpienie zwiłało z twarzy ten straszny, obumarły spokój i powróciło jej ludzki wyraz. Pomiędzy nami cisza była straszna. On leżał nieruchomy, podobny do męczenników, jak ich malują starzy mistrze florenckiej szkoły, gdy rozciągający na łożu tortur, konają bez skargi, z odbiciem nieba na czole, z tym cichym blaskiem źrenicy, w którym się skupia ostatnie ziemskie uczucie. Mdłe blaski zimowego poranku przeświecały po za gałęzmi jodeł, a w tém półświatle wszystko nabierało trupięj barwy, przejmowało nieskończonym smutkiem [tej godziny.

W końcu chory dał znak bym zbliżył się do niego,

bo usta jego tylko urywane, tłumione wydawały dźwięki.

— Maryanie, zapytał, kto cię nauczył tej piosnki? Spojrzenie jego zawisło na mnie, jakby chciał głąb myśli mojej przeniknąć.

— Ja nie wiem sam, odparłem; traf czy fatalność wyrzyła mi ją w pamięci.

— I nie pamiętasz kto ci ją śpiewał?

— Śpiewała mi ją raz kobieta piękna jak anioł, czy też doprawdy anioł z nieba zesłany. Pamiętam ją jakbym ją widział w tej chwili. Biała i blada, w promieniach księżyca pochylała się nad moją kołębka, wzięła mnie wpół wspaniętego na ręce i cisnęła do piersi bijącej, patrząc na mnie oczyma smutnymi, z po za łez które drżały na jej rzęsach i spadały mi gorące na czoło. Wówczas i mnie zrobiło się smutno i błogo razem; objąłem jej szyję dziecięcimi rączkami i zapłakałem; może dlatego że ją zobaczyłem płaczącą, a ona poczęła tulić mnie i śpiewać z cicha, głosem srebrnym, przenikającym, jakiego nigdy później nie słyszałem w życiu. Zasnąłem przy nim, a gdy się obudziłem, powtórzyłem jej pieśń, niezrozumiałą dla mnie wówczas, półgłosem, sądząc że anioł ukazał mi się we śnie i przyniósł oddźwięk nieba.

Stryj słuchał słów tych, nie zdejmując ze mnie oczów; tylko gdy mówiłem o niej, jakiś blask pełen niewysłowionej słodyczy i zachwyty rozjaśnił je na chwilę.

— A później, pytał, czyś nie widział jej nigdy?

— Nigdy, odparłem, ale w myśli mojej widzenie to pozostało nazawsze. Ileż razy zamykałem oczy, z nadzieją że ją znowu zobaczę.

— Więc i ty także, Maryanie, zapomniéć o niej nie mogłeś?

I z cicha wymawiając te słowa, patrzył na mnie ze współczuciem, jak by jeden więcej jednoczył nas węzeł. Wyciągnął do mnie kostniejącą rękę i cisnął dłoń moją ze słodyczą przebaczenia.

Tego już przenieść nie mogłem i ze stłumionym łkaniem ukryłem twarz w poduszkach.

— Nie bądź dzieckiem, Maryanie, wyszeptał chory. Nie zasłużyłem na to, byś mnie żałował.

— Ty, zawołałem, ty możesz mnie przebaczyć; ja sam nie przebaczę sobie nigdy!...

Wstrząsnął niecierpliwie głową, jak to zwykł był czynić dawniej.

— Tu niema winy, to i nie może być przebaczenia, mówił przygarniając twarz moją do siebie, bym łatwiej słowa mógł usłyszeć. Ty jak zegar tylko wybiłeś godzinę śmierci mojej, śmierci wyzwolenia, dodał ciszej.

— O nie, zawołałem, to być nie może, ty żyć będziesz, żyć odmiennym życiem!

Mówiłem to, sam nie wierząc własnym słowom. W głębi serca nie miałem nadziei, bo człowiek ten przez tę noc jedną stał się innym zupełnie, a ludzie zmieniają się tak szybko tylko pod potężną ręką śmierci, gdy czas ucieka przed nimi, gdy ziemia im się z pod stóp usuwa. Ale on nie zważał na słowa moje, może nie usłyszał ich nawet; pierś jego pracowała coraz silniej, głos sycząco wydobywał się z ust zbiegających.

— Lat tyle pragnąłem śmierci, lat tyle szukałem jej wszędzie, a ona zdawała się mnie unikać i rozpaczonego skazywać na męczarnię życia; aż w końcu nawet ta ostatnia żądza zamarła. Ty wskrzesiłeś jej wszystkie wspomnienia, i dlatego ci błogosławię, choć może przeszłość nie daje mi prawa błogosławieństwa.

Pląkałem jak dziecko; za życie tego człowieka byłbym dał swoje z rozkoszą.

— Maryanie, mówił umierający, wpatrując się we mnie z miłością, która przeobraziła twarz jego. Maryanie, ty podobny jesteś do mnie rysami, duchem i sercem może. Byłem kiedyś, czém ty jesteś teraz. Patrz, co ze mnie uczyniło życie. Nie napróżno spotkaliśmy się w tych dniach ostatnich, nie próżno nie ma na świecie.

— Nie mów tak, wyrzekłem, spocznij. Słowa te cię męczą.

Uniósł się nieco na poduszkach, ze spokojnym, nakazującym wyrazem.

— Nie przerywaj mi, wyrzekł, chwile moje są policzone; zbrakło mi może męstwa w życiu, nie zbraknie mi go w obec śmierci. Daj pokój dziecięcym mowom, nie mamy na nie czasu. Ja wierzyć muszę w serce twoje, Maryanie; zostawiam ci w spuściznie

powieść życia mojego. Może odkupię tym sposobem bezużyteczność swego istnienia.

Umilkł, słowa coraz trudniej wychodziły przerywane z piersi jego. Wydobył drobny kluczyk zawieszony na szyi.

— W pokoju moim, wyrzekł, znajdziesz cedrową szkatułkę, którą klucz ten otwiera. Oto spuścizna i przestroga moja, Maryanie, a potem niech Bóg strzeże serca twego.

Kłęcząc ciągle przy boku jego, siląc się zatrzymać łkania, które rozrywały mi piersi, siląc się ulżyć chwilom ostatnim i ostatnim cierpieniom konającego. Ale człowieka tego nie zdołała złamać nawet straszna chwila śmierci; ze stoicką hardością przyjmował jej uściski; czoło jego okrywało się zimnym potem, ale nie straciło spokoju; oddech i słowa zamięrały na ustach, a jednak jęk ni westchnienie nie wydobywało się z jego piersi. On przywykł tak cierpieć w milczeniu, że niezbadany, cichy, umierał tak jak żył. Milczał jak przez życie całe, czekając chwili ostatniej wyzwolenia, jak ja sam nazwał.

Tak płynęły chwile posępne, nieskończone. Zwolna dzień z szarego mienił się w biały i krwawa łuna wschodzącego słońca obléwała horyzont, roziskrzała śniegi zawieszzone na konarach drzew; ale blask ten wydał mi się przykrym, jak odbłysek pożaru.

— Maryanie, szepnął chory zaledwie słyszalnym głosem, jeszcze jedna, ostatnia prośba. Zaśpiewaj tę pieśń raz jeszcze, niech umrę przy jej dźwiękach.

Powstałem z pękającym sercem, zbliżyłem się do fortepianu, ale głos odmówił posłuszeństwa, słowa konały mi na ustach.

— Maryanie, wyrzekł stryj z nieopisanym w głosie odcieniem prośby i żalu, ja nie mam czasu czekać.

Z rodzajem rozpaczyny uderzyłem w klawisze, wysileniem woli pokonałem buntujące się zmysły i głosem w którego brzmieniu zmieszały się wszystkie cierpienia tej chwili, zacząłem śpiewać, jak to może uczynić człowiek wśród męczarni. Aż z ostatnią nutą moją usłyszałem jęk cichy, przeciągły. Zerwałem się, pobiegłem do chorego: już nie żył, a jeszcze słowa ostatnie zdawały się dźwięczyć w powietrzu, powtarzane przez jakieś echa tajemnicze.

„L'anima sola mai non muore.“

Zbliżyłem się do umarłego i drżącą ręką zamknąłem mu oczy bielmem zachodzące, błyszczące przystygłymi łzami. Twarz jego jaśniała pogodą, śmierć zwiła z czoła ślady burzy życia i powróciła mu piękność pierwotną.

Teraz zboląły i trwożny prawie obejrzałem się po tej komnacie tak strojnej, tak strasznie samotnej. Białe posagi, oblane blaskami wschodzącego słońca, zdawały się patrzeć na mnie z wyrzutem nieruchomymi oczyma, jak widma. Wszystko tutaj zgromadzone myślą człowieka, bez niego było jak ciało bez ducha, przejmowało tym wiecznym kontrastem rzeczy stworzonych, zgromadzonych potęgą myśli, a przeżywających jej działalność. I ogarniało mnie nieopisane uczucie; żal mój nawet był innym, niż zwykle bywa żal ludzka. Myślą ni życiem nie zespoliłem się z umarłym; nie zostawił on próżni w żadnym sercu, w żadnym rodzinnym kole; ogniwa wiążące go ze światem zerwały się od bardzo dawna; on sam błogosławił śmierci i nazwał ją wyzwoleniem. Siadłem przy jego trupie, przejęty tym bezosobistym smutkiem, jak mówi poeta „nad wielkiem niczem grobów“.

Długo tak byłem zatopiony w myślach, gdy głos kroków przerwał grobowe milczenie domu, drzwi otworzyły się i wszedł lekarz, w sam czas by śmierć poświadczyć.

Rozpoczęły się tak straszne dla pozostałych, tak drażniące dla zboląłych, materialne przybory śmierci. Teraz dopiero przypomniałem sobie ostatnie słowa konającego i wszedłem do dalszych pokoi, szukając szkatułki, od której klucz oddał w ręce moje.

Cedrowa skrzynka, zdobna bogatemi rzeźbami florenckiego odrodzenia, stała w sypialnym pokoju jego, przy łóżku wązkim, twarde, jak łożo żołnierza albo pokutnika. Pochwyciłem ją, ale nie śmiałem otworzyć; czułem że to co zawierało życie i śmierć takiego człowieka, nie powinno być czytane ciekawie, naprędce.

Otworzyłem ją później dopiero, z poszanowaniem i skupieniem myśli. Było tam pełno kartek odezwanych, myśli ulotnych, listów pisanych przez różne osoby, w rozmaitych czasach. Zapewne zgromadził je kiedyś starannie. Może chciał zniszczyć, a zbrakło mu odwagi, może sam uszanował ten skarb pamiątek, który zawierał upajające bóle młodości. Tajemnice tej myśli uniósł do grobu, została się tylko powieść życia.

Wiele dni upłynęło, zanim zdołałem odtworzyć przeszłość jego, straszną choć powszednią, i według niej zrozumieć, jakiej miary był ten człowiek, który jednak sprostać nie zdołał powszednim warunkom bytu, jakiej siły było bicie tego serca, które pękło pod naciskiem życia.

Wszystkie bogactwa ducha i ciała złane były na niego hojną ręką; świat stał przed nim otworem, życie wschodziło łatwe, swobodne. Może on chciał nastrój je zbyt wysoko. Nie starczyło mu to, co zwykle starczy ogółowi. Śmiałe oko zatopił w nieskończoność, harde serce wyniósł ponad poziom. Gromy uderzają zwykle w wysokie szczyty.... zdruzgotał go grom nieszczęścia. Świat i ludzie sprzysięgli się przeciw niemu, jak zwykle przeciw wszystkiemu co niepowszednie. Na drodze życia spotkał fałsz i zdradę, obłudne dłonie przyjaciół, kłamane kobiety uśmiechy, a spotykał je też łatwiej, tym częściej, że jako światło przyciąga owady, tak szlachetna indywidualność przyciąga brudne pasożyty. Ale nie to zwichnęło polot jego ducha, nie to połamało mu skrzydła.

Nieszczęście samo bezsilne było przeciw niemu, bo człowiek ten umiał znosić niezachwianie. Nieszczęście było cierpieniem tylko, a z cierpieniem on się nie liczył, wyzywał je dumnym czołem, dopóki nie znalazło sprzymierzeńca w nim samym i nie zrodziło szaleństwa i upadku. Jednak nie skarżył się napróżno, nie winował nikogo prócz siebie; w upadku i boleści umiał być sprawiedliwym. Zrozumiał że to co utracił, niepowrotnem było, i hardym, nieugiętym duchem przyjął życie, jakie sam wyrobił sobie.

Nie było w nim śladu nikczemności żadnej; nie chciał, nie raczył ludzi samego siebie; nie umiał zapominać i gardził tym, co ludzie zwykle nazywają pociechą, a należał do rzędu istot wybranych, dla których niema środka pomiędzy szczęściem a rozpaczą.

Miał słusność: powieść jego życia zawierała straszną naukę; można było postawić to serce strzaskanne na niebezpiecznych skałach życia jako drogowskaz, kędy są ścieżki zaguby.

Długo bardzo rozpamiętywałem dzieje życia jego, aż wszystko stało się dla mnie jasnym i zrozumiałym, aż przejrzałem do głębi serca zmarłego i odtworzyłem powieść jego życia, powieść którą tu podaję, jak ją znalazłem w papierach jego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Przegląd teatralny.

W trudnym dzisiaj znajdujemy się położeniu. Z przyjaznym usposobieniem, ze szczerą nawet chęcią przyklaskiwania, jeżeli pole będzie po temu, szliśmy na przedstawienie „Piosnki wujaszka“, a skłaniało nas do tego dziedzictwo pierwszorzędnego w literaturze naszej dramatycznej nazwiska; rozgłos powodzenia jakiego sztuki syna autora Ślubów panińskich doznały już na scenach lwowskich i krakowskich, a przytém (bo wszak i to niemałą jest przynętą dla Warszawianina krwią i sercem) nazwisko Żółkowskiego drukowane na afiszu. Sztuka oryginalna na tle miejscowym osnuta i z Żółkowskim jeszcze, to prawdziwa uroczystość, uroczystość która się zbyt rzadko u nas zdarza.

Tém dotkliwiej więc może uczuliśmy zawód jakiego przyszło nam doznać.

Niedawno wypowiedzieliśmy zdanie nasze o farsach w ogóle i stosowności ich u nas mianowicie, nie potrzebujemy się więc powtarzać; Piosnka zaś wujaszka należy właśnie do tego rodzaju utworów. Jest to wybryk wesołego humoru zdolnego pisarza, i z tego zapewne tylko punktu sędzić należy o tej sztuce. Wiadomo jednak że podobnego rodzaju dowcipkowania, dobre kiedy ogólny ustrój do nich

się nadaje, wychodząc ze swojego środka, stają się niewłaściwymi, rażącymi często. Niestety! nie posiadamy ani dwudziestu teatrów, ani osobnej dla każdego z nich publiczności. Toż samo, dość stonkowo szczupłe, grono widzów przychodzi witać każdy czerwony afisz, gdy mu się już pojawić spodoba. Z tytułu trudno odgadnąć o czém będzie mowa w sztuce, a raz znalazłszy się w sali teatralnej, trzeba wysłuchać do końca chociaż takich nawet rzeczy, które wstając od stołu po kilku kieliszkach szampana wydać się mogą śmieszniemi, ale trzeźwych rażą.

Treść Piosnki wujaszka opowiedzieć trudno, bo jej właściwie niema. Wujaszek z siostrzeńcem przyjeżdżają do wód, gdzie wesołe towarzystwo postanawia bawić się ich kosztem, boć to rzeczywiście postacie stworzone tylko po to, żeby się bawiono nimi. Siostrzeniec kocha się w sędziance Pieprzykowskiej, wujaszek kiedyś zalecał się jej mianie, dziś owdowiałej, a ślad zalecanek pozostał w piosnce, która zaśpiewana po pijanemu, wpływa na rozwiązanie i połączenie się obu par. Ot i wszystko. Życia dużo, śmiać się można do syta, komu ochota po temu; my jednak wyznajemy szczerze, że nie wszystko tam śmieszniemi nam wydało, i żart bowiem, zwłaszcza kiedy z pewnych granic wychodzi, bolesne czynić może wrażenie.

Gdyby nawet z tej jednej tylko sztuczki sędzić, możnaby już wynieść przekonanie o zdolnościach pisarskich autora; ale następczą się pytanie, dlaczego tę sztukę napisał i przeznaczył do przedstawienia? Nie na naszych scenach miejsce dla niej stosowne. Nie jesteśmy z tych, którzy konieczni i we wszystkim wyłącznie pragną widzieć tendencją; pojmujemy sztukę dla sztuki, nawet zabawę dla zabawy; ale témbardziej czujemy potrzebę miary w tej zabawie, która nie wszędzie może być na czasie i nie każdemu po myśli. Tegoż samego może zdania była i publiczność warszawska, która, co się u nas wyjątkowo chyba zdarza, na drugim już przedstawieniu połowicznie tylko napełniła salę teatralną. A nie uczyniła ona tego ze złej woli dla autora; owszem, sądzymy że gotowa jest zawsze okazać mu dowody współczucia i uznania; ale przez wzgląd właśnie na to instynktowe prawie uczucie, pragnęła zaprotestować przeciwko temu pierwszemu wystąpieniu, które pod poważniejszą trochę radą była ujrzeć wróżbę.

Wypowiedzenie tych kilku słów prawdy uważaliśmy za konieczne, przez szacunek dla autora i przez wzgląd na artystów, którzy wybornie wywiązali się ze swojego zadania. Żółkowski, siostrzeniec wujaszka piosnkowego, z całą werwą i szczerością przerzucił się w tę tak dziwnie śmieszna postać. Każde zagięcie twarzy, każdy ruch, każdy fałd ubrania, każde niezręcznie wyszeplenione słowo, dawały obfity materiał do śmiechu, który też wybuchał nawet u tych, co radziby byli zaprotestować przeciwko własnemu rozweseleniu. Taki to już jest przywilej wielkiego talentu, że wszystko pod jego dotknięciem promienieje, chociażby potem człowiek, przetarłszy oczy, gniewał się na tę chwilę własnowolnego zaślepienia. Nie pojmujemy żeby kto mógł tę rolę lepiej odegrać od Żółkowskiego, a jednak ten Placyd Ciociewicz, to osiemnastoletni młodzieniec, który świeżo ze szkół wyszedł, i trzeba było wielkiego złudzenia, żeby uwierzyć w tę jego młodzianzkowatość.

Wujaszek (p. Ostrowski) odegrał swoją rolę z tak prawdziwie komiczną werwą, tak wybornie ucharakteryzował się i zrosł z arcywesołym nastrojem komicznej swojej roli, że nawet przy nieporównanej grze Żółkowskiego zdołał po kilka razy przepołowić wrażenie przez pierwszego naszego komika wywołane.

Pan Świeszewski małą swoją rolę oddał z pełnym naturalnej swobody humorem; toż samo powiedzieć można o panach Tatarkiewicz i Szymanowskim; ten ostatni zwłaszcza za każdym wystąpieniem widoczne czyni postępy.

Panią Borawską wolimy w roli komicznej sędziny Pieprzykowskiej, aniżeli w przypadających jej zwykle płaczących charakterach matek szlachetnych. Strój jej, młynkowanie językiem i przesadne miny, dobrze przypadły do charakteru podstarzałej kocietki, którą autor kilkoma szkicowemi rysami nakreślił.

Wacław Szymanowski.